NR 11 (87)
ROK III

TYDZIEŃ

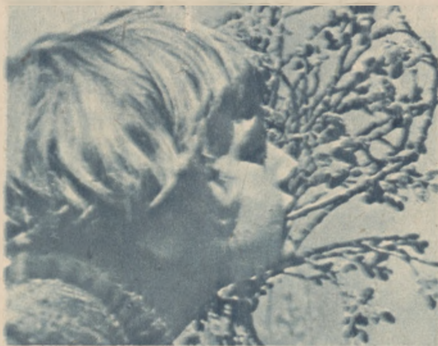
ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

21.III.1948
CENA 25 ZŁ

S.O.S.! Storpedowani!...

Reportaż na stronie 6-tej





Nr 32. Piotruś Łebkowski z Kutna

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Patrz szczegóły na stronie 5, wewnątrz numeru



Z CYKLU: „POZNAJEMY DZIECI CAŁEGO ŚWIATA"

Na przedmieściu Nankinu — małe Chineczki pierwszy raz w życiu przed obiektywem fotograficznym



Nr 47. Ilona Ajbeszyc z Katowic



Nr 61. Mały Juluś jest słoneczkiem swej mamusi (Wrocław)



Nr 51. Mareczek Łebkowski z Kutna



Nr 57. Witunia Szkupówna z Ziębic (Dolny Śląsk)



Nr 46. Staś Otko z Opatowa Kieleckiego



Nr 53. Przemysław Przyborowski z Warszawy



Nr 54. Rysio Jarochowski



Nr 55. Alusia Perla



Nr 58. Mała Marylka



Nr 50.

Romuś Janczak z Aleksandrowa Kujawskiego



Nr 63.

Jasio Kowalczyk z Krakowa



Nr 62.

Andrzejek Zakrzewski z Łodzi



Nr 60.

Basia Brzostkówna z Komorowa



Nr 36.

Leszek Kozłowski z Łodzi



Nr 41.

Ania Szymankiewicz z Mińska Mazow.



Nr 42.

i jej braciszek Heniuś



Nr 62.

Jadwiga Listewnik z Nowogardu



Nr 48.

Alinka i Bożenka Bujalskie z Rembertowa



Nr 45.

Uroczysty dzień Maciejka

ALELSANDER THEN

OJCIEC I SYN

(T. G. Masaryk — Jan Masaryk)

Osobisty dramat Jana Masaryka nie był jedynie jego własnym dramatem, lecz dramatem całego narodu czechosłowackiego, gdyż nazwisko jego było również nazwiskiem jego wielkiego Ojca, Tomasza G. Masaryka, twórcy państwa czechosłowackiego i jednego z politycznych odrodzicieli narodu czeskiego. Jan Masaryk posiadał nie tylko własne zdolności, które predestynowały go do zajmowanego stanowiska ministra spraw zagranicznych Czechosłowacji, ale był przede wszystkim dziedzicem tradycyj swego ojca, człowieka niezwykłego, którego losy dały Czechom i Słowakom w przełomowych latach walki o niepodległość obu narodów.

Masaryk, ojciec, dojrzewał, patrząc na oportunizm polityczny przywódców czeskich, którzy, nieświadomi przyszłych dni, marzyli o takiej reorganizacji monarchii Habsburskiej, która pozwoliłaby na zgodne współżycie Niemców i Czechów w granicach jednego kraju i w granicach jednego państwa. Później, już w czasie toczącej się pierwszej wojny światowej oportuniści czescy marzyli o złączeniu swych losów z losami carskiej Rosji z jakimś Wielkim Księciem, jako gubernatorem Czech. Nie ulega wątpliwości, że potężnym bodźcem w tym kierunku był czeski panslawizm, który w carach rosyjskich widział potężnych opiekunów całej Słowiańszczyzny.

T. G. Masaryk posiadał inną konstytucję umysłową i poszedł w innym kierunku. W swym pierwszym okresie nie był politykiem, lecz myślicielem. I ten fakt pozwolił mu poznać problem Słowiańszczyzny do głębi, wybrać z niego, co było dla narodu czeskiego cenne, a odrzucić zbyteczne i szkodliwe. Z tej filozofii narodził się nowy kierunek polityczny, oparty na realiźmie, na wyczuciu aktualności i rzeczywistości. Nacjonalizm nie mógł zajmować w tym kierunku miejsca dominującego,gdyż nacjonalizm prowadził do zaciemnienia rzeczywistych możliwości. W koncepcji Masaryka nacjonalizm nie mógł być ani celem, ani środkiem. Mógł stanowić tylko jeden z współczynników ruchu narodowego, który miał doprowadzić naród czeski do niepodległości.

Ta wiara Tomasza Masaryka w realizm polityczny, ta zdolność przystosowania programu politycznego i jego celów do praktycznych możliwości chwili zyskała mu wielu zwolenników wśród młodzieży. Ale masy nie poszły za nim. Poszły za nacjonalistami. Masaryk nienawidził metod demagogicznych. Więc jego partia posiadała w parlamencie austriackim zaledwie trzech posłów, mimo wielkiego wpływu, jaki wywierał na inteligencję czeską.

Masaryk był słowianofilem, ale w niezwykle szlachetnym ujęciu. Bronił Kroatów przed madziaryzacją; bronił Serbów przed zachłannością Austrii i Węgier. Nie opierał swego słowianofilstwa o Petersburg, patrząc na los Polaków. Zgłębił zagadnienie Rosji i napisał dzieło „Rosja, a Europa". To, co działo się w ówczesnej carskiej Rosji nazwał cezaropapizmem. Był demokratą i zdawał sobie sprawę z zasadniczego konfliktu między demokracją, a carskim absolutyzmem.

Wbrew koncepcjom innych polityków czeskich, Tomasz Masaryk Czech. Po pierwszym okresie wojny zdawał sobie sprawę, że przebudowa powojennej Europy zależeć będzie od mocarstw zachodnich i działalność swą przerzucił na ich stolice. Z jego filozofii panslawistycznej powstała koncepcja małych narodów w strefie między Niemcami a Rosją. Ale w swym maksymalnym programie, zupełnej niepodległości Czech zdawał sobie sprawę, że niepodległość ta będzie mogła być utrzymana w oparciu o Rosję, a nawet o wspólną granicę z Rosją. Jego myśl wyprzedzała historię. Konferencja monachijska potwierdziła jego tezę.

Rewolucja w Rosji wywarła wielki wpływ na kierunek myśli Tomasza Masaryka. Hasło rewolucyjnej Moskwy o samostanowieniu narodów, które znalazło swój wyraz w 14-tu punktach Wilsona utrwaliło program Masaryka i zdobyło mu ogromny autorytet we własnym narodzie i u innych narodów.

Był realistą, gdy przewidywał rozkład Monarchii Austro-Węgierskiej i był realistą, gdy w Pittsburghu podpisywał dokument, łączący ludy Czechów i Słowaków w jednym, wspólnym państwie. Był realistą, gdy mimo podeszłego wieku przebiegał niestrudzony Europę, Azję i Amerykę, głosząc konieczność odbudowy niepodległego państwa. Zwyciężyła jego realistyczna koncepcja. W nowym państwie został pierwszym prezydentem.

Jan Masaryk patrzył zbliska na działalność ojca i u jego boku wtajemniczał się w wielkie zagadnienia losów swej ojczyzny. Był synem rewolucjonisty, który zmuszony był przenieść swą działalność za granicę i do osoby jego przylgnęło dziedzictwo rewolucyjnego ducha ojca.

Działalność jego przypadła jednak na inną epokę i inaczej musiała się kształtować. Był obywatelem niepodległego państwa i jemu oddał swe służby. Nie musiał uciekać za granicę, ale przebywał za granicą reprezentując swój kraj na stanowiskach dyplomatycznych. Dopiero, gdy Hitler zajął jego kraj, poszedł w ślady ojca, rozwijając w Anglii i w Ameryce ożywioną działalność przeciw hitleryzmowi, wskazując na jego niebezpieczeństwo dla całej Europy. Na stanowisku ministra spraw zagranicznych emigracyjnego rządu dra Benesza w Londynie poszedł śladami ojca, walcząc o uznanie niepodległej Czechosłowacji, o anulowanie haniebnych klauzul Monachium, o odbudowę państwa w jego granicach z r. 1937.

Odziedziczone po ojcu zasady demokratyczne nie były dla Jana dekoracją, lecz najbardziej istotną potrzebą jego duszy i jego umysłu. W ciągu 9 dni lutowych, które dokonały przebudowy politycznej Czechosłowacji, Jan Masaryk nie zawahał się i nie zachwiał się. Stanął po stronie Gottwalda i Fierlingera z wiarą, że oni są strażnikami demokracji, tej demokracji, o którą walczył jego ojciec. Być może, że takie, a nie inne stanowisko podyktował mu również odziedziczony po ojcu realizm polityczny. Z tego realizmu zrodziła się ojcowska koncepcja oparcia niepodległości Czechosłowacji o potęgę Rosji bez angażowania uczuć narodu do carskiego ustroju. Ten realizm nakazywał Janowi Masarykowi związanie się z Gottwaldem, głoszącym konieczność oparcia niepodległości Czechosłowacji o sojusz ze Związkiem Radzieckim na zasadzie wzajemnej przyjaźni. Do ostatnich dni życia aż do tragicznej śmierci Jan Masaryk pozostał wierny duchowej spuściźnie ojca i jego programowi politycznemu, opartemu na realiźmie politycznym.

KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH

W budżecie na rok 1948 znalazła się pierwsza rata 300 milionów złotych na zakup książek dla bibliotek. Przystąpiono do masowej akcji, mającej na celu udostępnienie książki dla najszerszych rzesz nabywców i czytelników. Realizacja ustawy bibliotecznej, tworzenie sieci organizacyjnej mającej rozprowadzać książki do wszystkich zakątków kraju oraz pośrednictwa w wyborze, jak również cały szereg innych wysiłków, mających na celu popularyzację czytelnictwa, to kapitalne momenty akcji rzeczywistego upowszechnienia kultury. Powstał specjalny organ, złożony z przedstawicieli Rady Państwa, Rządu i odpowiednich czynników społecznych, który zajmować się będzie rozpatrywaniem, akceptacją, wytyczaniem dróg działania i realizacją planów wydawniczych. Czas już mówić o organizacji rozpowszechnienia książki, skoro produkcja książki ilościowo osiągnęła w Polsce rekordową wysokość. Rok 1947 przyniósł nam od 40 do 50 milionów egzemplarzy różnych wydawnictw. Obok tego działa inicjatywa poszczególnych wydawnictw, tworzących różne „kluby dobrej książki", biblioteki ruchome itp. Równocześnie jednak stan czytelnictwa w naszym kraju nie jest jeszcze bynajmniej zadawalający. Książka w niewielkim stosunkowo stopniu przenika poprzez wciąż jeszcze wąską warstewkę stałych i systematycznych konsumentów, rekrutujących się w głównej mierze z inteligencji. Gorzej w warstwie robotniczej; w chłopskiej— zgoła źle. Zgoła niefortunnym byłoby tutaj użycie oklepanego frazesu, że książka „z trudem toruje sobie drogę" w dzielnicach fabrycznych, zapadłych wsiach i miasteczkach. Właśnie chodzi o to, że nie toruje. Nie ma jej tam, gdzie najbardziej jest upragniona. Na brak rozbudzonych zainteresowań, brak odczuwania potrzeby książki narzekać nie możemy. Jest o wiele większy, niż w niedawnych jeszcze latach przedwojennych. Wiedzą o tym działacze oświatowi, stykający się z „terenem", wiedzą redakcje pism, posługujących się premią książkową, ja ko najbardziej pożądaną. Na przeszkodzie jej rozpowszechnienia stoi z jednej strony — cena — bo książka jest zbyt droga, z drugiej strony — niedostatecznie gęsta i zbyt słabo zaopatrzona sieć bibliotek, co daje się odczuć szczególnie boleśnie na wsi.

Zdaje się, że to jest problem. Właśnie problem techniczny. Nie obojętność czytelnika i nie — jak chcieliby niektórzy — brak w literaturze problematyki, mogącej zainteresować masy pracujące. Problematyka wielkiej literatury jest ludzka, a więc wspólna wszystkim. Dlatego, mimo pozornej często „nieaktualności", aktualna jest zawsze i na każdym miejscu. Dyskusja na temat „jaką literatura być powinna", pozostanie jałowa, przypomina bowiem sytuację, w której ktoś, siedząc na dachu kamienicy zastanawia się, w jaki sposób wywiercić studnię w ziemi. Literatury nie można wydusić żądaniami postulatami i sloganami. Ani wojna i okupacja, ani powojenny przewrót socjalny i odbudowa nie stały się dotychczas źródłem inwencji literackiej, mogącej wytrzymać porównanie z gigantycznymi wymiarami zjawisk. Nie będziemy szukali przyczyn. Może właśnie tematyka jest zbyt jeszcze bliska i przytłaczająca swoją nowością i bogactwem. Może wymaga jeszcze przetrawienia perspektywy. Nie ma powodów do alarmowania. Literatura współczesna — to znaczy wyrastająca z problemów dnia dzisiejszego, powstanie — i to nie na skutek programowych postulatów, ale przy pomocy środków sobie właściwych: talentu, wnikliwości i pracy pisarzy. Zanim to nastąpi — cóż mamy czynić? Odpowiedź daje nam czytelnik, żądając po prostu książki dobrej. To jest rzeczywiste i niewątpliwe „zamówienie społeczne". Wyszła mu na przeciw inicjatywa wydawnicza, zwłaszcza wielkich spółdzielni, jak „Czytelnik", „Wiedza", „Książka" — realizując wiele cennych pozycji z literatury polskiej i światowej, wiele cennych wznowień, przede wszystkim pozycji klasycznych, bez znajomości których nie może być kulturalnego czytelnika.

Cóż więc pozostaje? Poza dalszą, racjonalną i mądrą akcją wydawniczą przede wszystkim — **udostępnienie** książki. I to nie tylko drogą potanienia, umożliwienia nabycia książki ludziom, pragnącym posiadać je na własność. Nie negując kulturalnego znaczenia szlachetnej żądzy posiadania własnej książki, trzeba podkreślić, że pierwszym stopniem w kierunku upowszechnienia czytelnictwa będzie tworzenie bibliotek. Czytelnika masowego nie stać na kupno wszystkiego, co chciałby i powinien przeczytać. Zresztą racjonalne kompletowanie własnej biblioteki możliwe jest tylko pod warunkiem znajomości rzeczy, nabytej przez czytanie. Nowego czytelnika pozyskać trzeba przez bibliotekę, urabiać go poprzez zorganizowane przy bibliotece poradnictwa. Zwłaszcza na terenie wiejskim jest to zagadnienie olbrzymie i prawie że jeszcze nie ruszone. Jak je rozwiązać? Czy przez biblioteki objazdowe? Czy przez biblioteki stałe, przy szkołach pod opieką nauczycieli, jedynych w wielu ośrodkach ludzi, posiadających kwalifikacje na bibliotekarzy? Czy jeszcze inaczej?

Ostatnie posunięcia realizacyjne są poważnym krokiem naprzód, na razie tylko na szczeblu górnym. Kwestia biblioteczna w terenie leży jeszcze niemal że w całości przed nami. Musimy podjąć ją nie tylko z zapałem, ale za zastanowieniem, poprzedzić rozwiązania generalne szeregiem prób, gwarantujących powodzenie akcji.

M. S.

Trzy po trzy

STANY Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja, wysłały swoich przedstawicieli na nowe narady w sprawie Niemiec, postępując tak, jak by poza tymi państwami nikt wojny z Niemcami nie prowadził.

Na oficjalne protesty, wykazujące niezgodność takiego postępowania z zasadami ustalonymi w Poczdamie, anglosasi znaleźli argumenty dostarczone przez prawników, hołdujących wytycznej, że prawa nie należy stosować, lecz naginać do interesu mocodawców. Jeżeli uchwały poczdamskie postanawiają, że sprawę Niemiec należy załatwić przez porozumienie wszystkich zainteresowanych mocarstw, to zdaniem tych oryginalnych komentatorów nie oznacza to, by część sygnatariuszy nie mogła uchwalić czegoś, co nie odpowiada pozostałym, a następnie wołać gromkim głosem: Patrzcie — to ONI nie pozwalają na załatwienie sprawy Niemiec „ONI", to Związek Radziecki, Polska, Czechosłowacja i Jugosławia. Po polsku nazywa się to polityką faktów dokonanych. **(P)**

Szwajcaria

FABRYKANCI zegarków przeżyli niemiłe chwile wielkiego rozczarowania. Jak wiadomo fabrykacja czasomierzy jest jednym z głównych przemysłów szwajcarskich, i od chwili, gdy Japończycy zmuszeni zostali do zaprzestania produkcji zegarków, sprzedawanych na wagę, Szwajcarzy byli niepodzielnymi panami rynków światowych. Niedawno jednak dwie fabryki amerykańskie „Elgin" i „Hamilton" sięgnęły po południowo-amerykańskie rynki eksportowe.

W Szwajcarii zawrzało. Cios był celnie wymierzony, gdyż bilans handlowy obrotów ze Stanami Zjednoczonymi zamyka się już obecnie deficytem blisko 20 milionów dolarów rocznie. Nawet dla bogatej Szwajcarii jest to suma wielka. **(P)**



Iran

POLA naftowe południowego Iranu, eksploatowane przez amerykańskie koncerny naftowe stały się po raz niewiadomo który widownią gwałtownych manifestacji robotniczych. Chodziło o wyżywienie robotników, których wysłano do budowy lotniska w pustynnych okolicach, zapomniawszy o dostarczeniu dostatecznej ilości żywności. W wyniku interwencji władz, 2 robotników zostało zabitych i kilku rannych.

Agencja amerykańska INS, należąca do koncernu Hearsta, dodała do tego znamienny komentarz: „Rząd w Teheranie nie przywiązuje wagi do tych wypadków".

Dwóch zabitych robotników — to „bagatelka". **(P)**

Cyfry niepokojące

NIEMCY wywieźli z Francji podczas drugiej wojny światowej olbrzymią ilość 77.900 obrabiarek. Powróciło z nich do tej pory zaledwie... 790, czyli 1%. Ile wywieziono z Polski — i ile odzyskaliśmy, nie wiadomo.

Zato „Reinisch Pfälzische Rundschau" (demokratyczny dziennik niemiecki, wydawany w strefie francuskiej) przynosi interesującą informację, że nawet po projektowanym zdemontowaniu części niemieckich fabryk, przemysł b. Rzeszy rozporządzać jeszcze będzie 80-procentami swego potencjału z r. 1936. Niepokojące, w każdym razie, cyfry... **W. N.**

„Hiroszima"

6 sierpnia 1945 r. piętnaście minut po ósmej rano pierwsza w historii bomba atomowa rzucona została na miasto Hiroszima w Japonii. Skutki były straszliwe. Z 245.000 mieszkańców zginęło około 100.000, w gruzy rozpadły się najpotężniejsze betonowe budynki. Część osób, która przeżyła bombardowanie, zachorowała na specyficzną „chorobę atomową", której objawy zanotowali japońscy lekarze. Natomiast na roślinność rzucenie bomby wywarło skutki ożywcze. Bomba nie tylko nie uszkodziła podziemnych organów roślin, lecz przeciwnie podnieciła je do rozrostu. John Hersey opisał to wszystko w pasjonującym reporażu, wydanym obecnie nakładem „Wiedzy", w przekładzie J. Wittlina. Autor rozmawiał z kilkunastoma osobami z pośród cudownie ocalałych. „Sto tysięcy ludzi zginęło od bomby atomowej, a tych sześcioro znalazło się wśród ocalałych. Wciąż jeszcze nie mogą się nadziwić, czemu właśnie oni pozostali przy życiu, skoro tylu innych poniosło śmierć".

Książka wywarła na całym świecie olbrzymie wrażenie. **W. N.**

ŚWIĄTECZNY NUMER „TYGODNIA"

ukaże się w zwiększonej objętości

24 STRON

i będzie zawierał:

artykuły, nowele, reportaże, wiersze i felietony pióra:

JÓZEFA BARTOSIKA, MARIANA BOGACZA, DEOTYMY, MIECZYSŁAWA GURANOWSKIEGO, QUASA, ZUZANNY RABSKIEJ, ANETY RUTKOWSKIEJ, WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA, ALEXANDRA THENA, ZYGMUNTA WEISSA, JADWIGI ŻYLIŃSKIEJ

ilustrowane przez:

EDMUNDA BARTŁOMIEJCZYKA, KAZIMIERZA MANNA, MIECZYSŁAWA NESTEROWICZA, JERZEGO SROKOWSKIEGO, JULIANA ŻEBROWSKIEGO, JADWIGĘ ŻYLIŃSKĄ

ponadto: konkursy, rozrywki umysłowe, kącik bridżowy, kącik filatelistyczny, dział kobiecy, zioła i tp.

Witold Wołowski

ZAKAZANY HAZARD

(Wspomnienie ze służby w Legii Cudzoziemskiej w Marokko)

Pod niską, rozłożystą palmą, siedziało dobrane towarzystwo: Semonowicz, Marchaud, Schnitzler i... ja. Czterech szefów plutonów, znanych niestety jak fałszywy frank, w całym dywizjonie.

Schnitzler był najstarszy rangą, a w dodatku pełnił funkcję prowiantowego. Rozpostarty na ziemi koc, zastępował stół.

Krótko mówiąc, graliśmy w karty.

Zakryci gąszczem od strony pustyni, na której o kilkadziesiąt kroków dalej, bielił się kwadrat białych namiotów, byliśmy dobrze schowani przed okiem naszego wodza, kapitana Beautirau — zwanego Beau-Tiran. Było to po dekadzie i pieniędzy mieliśmy wbród. Nie było gdzie wydać. Kopyta naszych koni, od ośmiu miesięcy nie dudniły po bruku żadnego miasteczka, w którym byłaby knajpa, no i to, co po powrocie z dystryktu kosztuje najwięcej, piękne oczy i zwodniczy uśmieszek...

Graliśmy w dwadzieścia jeden.

Semonowicz trzymał bank. Pokaźny plik banknotów leżał przed nim. Cóż? Chłop miał szczęście!

Ale za to gęba! — hy! Nawet stare arabki uciekały od niego.

— Osiemnaście — dwadzieścia jeden! — krzyknął uradowany Schnitzler, który postawił grubo, przegrawszy przedtym sporo pieniędzy.

Bułgar zmrużył oczy i wolno, z namaszczeniem, odkrył karty.

— Ja też! Hi! Hi! Hi!

Prowiantowy zbladł. Zapalił nerwowo papierosa, a zwracając się do bankiera rzekł:

— Semenku, Kochanie! Czy ty przypadkiem nie... tego...?

Semenowicz skrzywił się:

— Gdybym nie miał szacunku dla tego salami, które w twym magazynie nie pleśnieje, tylko dzięki mnie, to...

Pogłaskał głowinę arabskiego zdobytego kindżału.

Załagodziliśmy wiszącą w powietrzu awanturę. Byliśmy wszyscy przyjaciółmi, ale kłótnie i pojedynki na pięści, były na porządku dziennym. Ileż to razy kapitan, bywał arbitrem w różnych sporach.

Bierz karty Marchaud, a nie bujaj myślami koło Pepe... — odezwałem się niecierpliwie do kolegi.

Ten jednak siedzi i ma gębę jakoś dziwnie zmieszaną.

Podnosi oczy i...

— Psia krew! — wyrwało mi się po polsku.

Za plecami Francuza stał komendant i oparł na jego głowie dłoń, nie pozwalając mu wstać.

Poderwałem się jak podrzucony sprężyną.

— Nie przerywajcie sobie gry! Proszę bardzo... — zabrzmiał jakoś dziwnie uprzejmy głos „Beau-tirana".

— Kapitanie... — bąknął Schnitzler.

— Powiadam ci siadaj, bo zdejmę kepi!

Był taki zwyczaj w Legii, że kiedy zwierzchnik odrzuca na bok kepi i bluzę, mógł czynnie skarcić legionistę. Ale i ten miał wtedy prawo do obrony. Wynik takiej rozprawy zależał od siły i treningu.

Nasz wódz często korzystał z tego przywileju. Bary miał jak niedźwiedź, a pięść chyba jak goryl. Bijże się człowieku z takim tyrem!

Zresztą, każdy z nas, ilu nas tam było w szwadronie, zgodziłby się chętnie osiodłać panterę, gdyby tego kapitan zażądał. To był oficer! Starszy kolega, brat i karcący w porzebie ojciec.

Podczas walk rzeba go było dobrze pilnować, bo brawura tego człowieka była po prostu wariacka. O ile był wyrozumiały na różne wykroczenia służbowe, wpadał w pasję na widok żołnierzy, grających w karty. Tej jedynej rozrywki zabraniał surowo.

— W co gracie? — zapytał słodko.

— W dwadzieścia jeden...

— O Key! Trzymam bank! Dawaj karty! — Cisnął na koc stufrankówkę.

Gra pochłonęła nas całkowicie. Zapomnieliśmy nawet z kim gramy. Partia za partią...

Stos biletów Marokańskiego Banku, wznosił się coraz wyżej przed kapitanem. Po godzinie byliśmy gotowi, spłukani doszczętnie — do ostatniego franka. Jak on grał — licho go wie...! Nikt nie śmiał zajrzeć mu w karty...

„Stary" obojętnie napełnił kieszenie pieniędzmi, przeciągnął się i ziewnął...

— Nie idzie wam karta? Co? — zapytał w tonie twierdzenia. — Cóż? Forsy już nie macie, to i trudno... A szkoda, bo moglibyśmy jeszcze grać. Chcę wam dać możność odzyskania pieniędzy.

Wyciągnął swój wielki rewolwer, nacisnął bębenek i wysypał na dłoń sześć naboi.

— Otóż — ciągnął — gra polega na tym, że wsadzam jedną kulę w bębenek i podaję rewolwer naprzykład tobie, Marchaud. Nie patrząc na broń, obrócisz kilkakrotnie dłonią bębenek, aby nie widzieć w którym łożysku znajduje się kula, następnie przyłożysz do swej mądrej mózgownicy i... pociągniesz za cyngiel. Jeśli po tym eksperymencie, będziesz jeszcze figurował na liście żyjących w szwadronie' odzyskasz całą przegraną. Jeśli natomiast kula przejdzie przez lufę, no, to napiszemy do twego Rheims, aby nie liczono w domu na powrót marnotrawnego syna. Zgoda?

Spojrzeliśmy po sobie. Tfu!... Do czego nas karty doprowadziły! Odmówić — powie tchórz! A wtedy nie ma co robić w szwadronie. Kropnąć sobie w łeb dla głupich pieniędzy, to też trochę, hm... szkoda!

Schnitzler zgodził się pierwszy. My oczywiście za nim.

„Beau-tiran" sięgnął do kieszeni, wyjął garść naboi, wybrał z nich jeden i załadował do pistoletu.

Ile przegrałeś- — zapytał prowiantowego.

— Osiemset franków! — odparł spuszczając skromnie oczy.

Kapitan odliczył pieniądze i położył je na koc.

— Proszę, mon ami! — powiedział uprzejmie, podając mu broń.

Schnitzler chwycił rewolwer, uderzył dłonią po bębenku i natychmiast przyłożył lufę do skroni.

— Klaks!...

— Zabieraj forsę! — odezwał się oficer, nucąc pod nosem starą, obozową piosenkę.

Następnym był Bułgar.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, pociągając za cyngiel.

To samo...

„Beau-tiran" śpiewał już głośno, arcyfałszywym głosem.

Marchaudowi drżała trochę ręka, ale krzyknął:

— Marsz do Mahometa!

I znowu nic...

Odbierając z kolei pistolet, ostatni jako najmłodszy, byłem przekonany, że do trzech razy sztuka. Wierzyłem, że jestem zgubiony.

— Ech, szkoda jednak życia!

W mgnieniu oka jak na taśmie filmowej, przesunęła się przed oczyma cała przeszłość...

„Stary" przestał śpiewać i wolno zapytał:

— Boisz się?

— Eh... — mruknąłem pogardliwie. Zimny dotyk lufy i... nacisnąłem cyngiel.

— O nieba! Nic nie hukło! Żyję chyba?

Otworzyłem szeroko oczy. Miałem ochotę fiknąć kozła z radości. Sprężyłem się jednak w postawie na baczność i oddałem broń kapitanowi.

Ten wytrząsnął nabój na dłoń, a wyjmując palcami kulę z gilzy, powiedział:

— Patrzcie nicponie! Prochu nie było a gilza już zużyta. — Śmiał się wesoło. Rzucił nabój na ziemię i zaczął ładować pistolet na serio.

Kiedy wsunął pierwszą kulę, bawił się chwilę bezmyślnie obracaniem bębenka. Nagle błyskawicznym ruchem skierował lufę do piersi!

Gruchnął głucho strzał i kapitan zwalił się ciężko na wznak. Klęczeliśmy przy nim, a twarde nasze, opancerzone przed wszelką tkliwością serca, serca legionistów, chciały pęknąć z żalu.

— Za co nas tak karzesz kapitanie?

Otworzył oczy, a wspierając się na naszych ramionach, patrzył na szerokie piachy. Poruszył wargami i szepnął:

— Pustynia... dwadzieścia lat mija, jak musiałem opuścić Francję... Przez... karty przeklęte! Zagrałem partię z sobą! Wybaczcie chłopcy! Nie mogłem już dłużej...

W obozie trębacz grał sygnał do wodopoju...

Dziwnie smutnie tego wieczora rżały nasze saharyjskie rumaki.

Quas FORMY ŚWIATOWE

Nieco uciążliwe, powiedziałbym, bywają konwenanse. Może trochę za wiele czasu absorbują.

Trzebaby hrabią być chyba, albo zamożnym wałkoniem, żeby móc sprostać wymaganiom dobrego tonu.

A człowiek pracy prędko z torbami by poszedł, gdyby chciał skrupulatnie przepisy savoir-vivre,u przestrzegać.

Więc z pewną tolerancją zapatruję się na uchybienia kodeksowi form światowych.

Żeby nie powiedzieć, pocałujcie psa w nos, moi drodzy, ze światowymi formami!

Nie robię żadnych aluzyj, broń Boże!

Ale weźmy taki wypadek.

Szwagierka z mężem przyjechała z Gdyni do Warszawy na kilka dni.

Rozerwać się trochę.

Rodzinę odwiedzić...

Znajomych...

Ma się rozumieć, u nas stanęli.

— Co będziemy po hotelach się tłuc, — powiedzieli — Chyba nas przyjmiecie?

Chciałem bąknąć coś uprzejmie, ale żona dla pewności mnie uprzedziła:

— Ależ, naturalnie! Nigdy byśmy nie pozwolili na to, żebyście mieli w hotelu stawać.

— Tylko może trochę niewygodnie wam będzie, — rzekłem skromnie.

Ale szwagierka roześmiała się pogodnie:

— Och! a nie pamięta szwagier, jak gnieździliśmy się latem, kiedy przyjechaliście do nas, do Gdyni?

Zagryzłem wargi. Wiedziałem od razu czym pachną te zaprosiny na lato.

Goście zainstalowali się u nas z właściwą osobom bliskim nanszalancją.

Serce mi rosło na widok, jak dobrze czują się w moim domu, zwłaszcza, że byłem przez nich traktowany z wylaniem.

Najpierw wylano mnie z sypialni. Z niejaką goryczą analizowałem ten stan rzeczy, wijąc się na mym kawalerskim łóżku, od którego zdążyłem odwyknąć.

Przy tym w przedpokoju, gdzie je ustawiono, wiało nieznośnie od drzwi, a gdy tylko usnąłem, budził mnie łoskot kroków na schodach.

Często wypraszano mnie również z domu, gdy do naszych gości mieli przyjść ich goście.

— Szwagier ich nie zna, a my będziemy skrępowani, — twierdziła szwagierka, wręczając mi kapelusz i parasol.

Ponieważ zdarzało się to często w porze obiadowej, zacząłem odczuwać po pewnym czasie przykre niedomagania żołądkowe, gdyż kuchnia restauracyjna naogół mi nie służy.

Toteż wyznam szczerze, że po dwu tygodniach pożycia z kuzynami bez żalu przyjąłem wiadomość, że wkrótce wyjeżdżają.

— Tylko jeszcze musimy urządzić przyjęcie dla wszystkich naszych znajomych, którzy nas gościli przez cały czas w Warszawie, — oświadczyła szwagierka.

Kiedy w dniu przyjęcia z cichym westchnieniem gotowałem się do opuszczenia domu, usłyszałem niespodziewaną propozycję:

— Może szwagierek dziś zostać. Nawet parę osób chciało zobaczyć, jak szwagier wygląda. I ciocia Bela chce prosić szwagra o posadę dla syna.

Z jednej strony lepiej, że zostałem.

Dzięki temu zdołałem uratować buteIkę starego koniaku, którą jeden z gości już wywlekał z kredensu. Powiedziałem że to płyn na mole i wyjałem mu z rąk.

A jednego pana w porę odprowadziłem do łazienki, gdyż zrobiło mu się mdło i zrezygnowany usiadł w fotelu przed moim biurkiem.

Udaremniłem też plany jakiejś starszej pani, zamykając na klucz bibliotekę, z której zamierzała wybrać sobie coś do czytania na wieś.

Pohamowałem też gościnność żony, gdy pędziła do gabinetu po moje cygara dla gości, którzy chcieli spróbować czym się też może różnić w smaku od papierosa.

I jeszcze w kilku okolicznościach moja obecność w domu okazała się zbawienna.

Ale nie chcę być posądzony o złośliwość wobec ludzi, którzy zaszczycili progi mojego domu...

Pal ich diabli!



Często wypraszano mnie również z domu...

Ciężar konwenansów zacząłem odczuwać już po wyjeździe drogich szwagrostwa.

Po kilku dniach dobrze wychowani ich znajomi jęli nam składać wizyty.

Czynili to często w porze obiadu, gdy podnosiłem do ust widelec z kawałkiem mięsa ociekającego chrzanem, lub zabierałem się do wypicia szklaneczki piwa po ostrym gularzu.

Szczęśliwym udawało się zbudzić mnie z poobiedniej drzemki, by złożyć mi wyrazy należnego uszanowania i zapytać o cenne zdrowie.

Inni przyłapywali mnie w drzwiach gdy śpieszyłem, łykając w locie resztę obiadu, na ważne spotkanie.

Ze wszystkimi zasiadałem uprzejmie przy filiżance czarnej kawy, chętnie sparzonej przez lubiącą życie towarzyskie żonę i oddawałem się beztroskiej pogawędce o sztuce lub mediumiźmie.

A teraz ja rewizytuję te wszystkie osoby od tygodnia, zaniedbując najpilniejsze sprawy.

Załatwiłem już ten święty obowiązek wobec lwiej części nowych znajomych.

Zostało mi wszystkiego coś jedenaście wizyt.

Do niedzieli mam nadzieję wszystko opędzić.

Ale, powiedziałbym nieco uciążliwe są te konwenanse.

Trzebaby hrabią być albo zamożnym wałkoniem...

Człowiek pracy z torbami może pójść...

Więc radzę pewną tolerancję w tych rzeczach stosować — aby nie powiedzieć, pocałujcie psa w nos z formami światowymi, moi drodzy!

Quas

MARKO LARSEN

S.O.S. RATUJCIE

Skołatane nerwy zwolna powracały do normy. U niektórych, dziwnie opanowanych przy ataku Focke-Wulfa, przy odprężeniu nastąpiła reakcja, w formie drżących rąk i kolan oraz niemiłego osłabienia.

Chłopak kuchenny biegał po pokładzie z tacą dymiących kubków świeżo zaparzonej herbaty. Była to prawie tradycja, że po jakimkolwiek cięższym przeżyciu ogólnie raczono się brunatną lurą herbaty z mlekiem.

Żywo zabraliśmy się do porządkowania pokładu. Z przykrością skonstatowano, że trzy łodzie ratunkowe, w tym jedna motorowa, zostały tak posiekane z karabinów maszynowych samolotu, że nie nadawały się do użytku w razie wypadku.

— „Chippie" — wraz z kilkoma ludźmi natychmiast zabrał się do ich naprawy. Lżej ranni zostali opatrzeni i zagnani do roboty. Kilku obszywało w specjalne płótna zwłoki poległych. S-s „Southern Cross", zasadniczo nie uszkodzony, nadal kontynuował podróż zygzakowatym kursem. Zdwojono czujność. Powszechnie znany był fakt, że Focke-Wulfy utrzymywały ścisły kontakt z U-bootami.

Gdy samolot niemiecki zauważył jakiś konwój, uciekał po to, by po zawiadomieniu łodzi podwodnych, które operowały przeważnie „stadami", wspólnymi siłami przeprowadzić w odpowiednim momencie atak. Przy spotkaniu samotnego statku, podobnie jak naszego, bombowiec sam się z nim rozprawiał, ufając, że własne siły są wystarczające na jego zniszczenie. W naszym wypadku jednak szczęśliwie udało nam się uniknąć tego ostatniego. Nie łudziliśmy się, że walka skończy się tylko jednym atakiem.

Nie omylilibyśmy się napewno, przypuszczając, że może w tej chwili radiooperator pokładowy Focke-Wulfa nadawał gorączkowo meldunek o nieudanym ataku, podając dokładnie naszą pozycję, kurs i szybkość. Przy zachodzie czerwonej tarczy słońca, powoli zanurzającego się w ciemne masy wód, odbyła się uroczysta ceremonia pogrzebu morskiego. Kapitan statku w otoczeniu obnażonych głów załogi w cichym półmroku Atlantyku, odmówił wzruszającą modlitwę za umarłych na morzu. Ciche lecz dobitnie wymawiane słowa potęgowały przygnębiający nastrój, panujący wśród całej załogi.

Był to pierwszy pogrzeb, który oglądałem na morzu i czułem przebiegające po plecach ciarki. Po modlitwie zakończonej głośnym „amen" załogi, pierwszy oficer pożegnał kolegów w naszym imieniu. Mowa była krótka i szczera. W końcu przechylono pokrywy od luku i ciała zsunęły się, znikając za burtą.

Zmierzch szybko przeistoczył się w czerń nocy. Kompletnie zaciemniony statek nie zdradzał się najmniejszym błyskiem światła. Wszystkie drzwi wiodące do jakichkolwiek oświetlonych pomieszczeń były wyposażone w automatyczne wyłączniki. Otwieranie drzwi — gasiło. a zamknięcie zapalało światła. Nadbudówka mostka kapitańskiego tonęła w mroku, tylko busola statku swym fosforyzującym światłem grała na twarzy sternika potęgując jego rysy. Z brezentu stworzono coś w rodzaju budki, gdzie nawigator mógł spokojnie czytać mapy.

Poza regularną wachtą i „louk-outami" załoga zmęczona przeżyciami dnia twardo spała. Forkasztel rozbrzmiewał chrapaniem, niektórzy rzucali się na pryczach cicho pojękując. Nękała ich zmora niedawnych wrażeń.

Ni stąd ni zowąd czuwający na pokładzie zostali zwaleni z nóg potężnym uderzeniem. Potworny wybuch zatrząsł całym statkiem. — Torpeda! — Prawa burta! — Piąta luka!...

Zawyły syreny alarmowe. Potykając się nawpół ubrana załoga biegła na stanowiska.

— Działo golowe!

Niestety, czerń nocy nie zdradziła śladu nieprzyjaciela. Statek „pił" wodę, niebezpiecznie przechylając się na prawą burtę. Ostry kąt pochylenia pokładu utrudniał poruszanie się i załoga pełzała na czworakach.

„Sparks" - radiotelegrafista wzywał pomocy, podając naszą pozycję. Na falach eteru daleko w świat popłynęło jękliwe S. O. S. — S. O. S. — S. O. S.

Kapitan upewniwszy się, że już nic nie może zrobić, by uratować s-s „Southern Cross", dał rozkaz opuszczenia statku .Zatrzymano maszyny i część załogi, zająwszy „stanowiska opuszczenia statku", spuszczała łodzie ratunkowe, inni przeszukiwali zakamarki statku, szukając osadzonych i rannych. Za burtę wyrzucono wszystko, co się mogło utrzymać na morzu. Przydzielony byłem do łodzi znajdującej się przy prawej burcie. Pchylenie pokładu bardzo ułatwiło nam jej opuszczenie.

Zimne groźne fale Atlantyku były tuż pod nami.

Nieprzenikniona czerń nocy, zrzadka przecinana ostrym snopem latarek elektrycznych, bardzo utrudniała zadanie opuszczenia statku. Głośnymi okrzykami utrzymywano łączność pomiędzy sobą. Łodzie Nr Nr 2, 4, 6 i motorowa były uszkodzone. To wprowadziło zamęt. Egipska ciemność rozbrzmiewała soczystymi przekleństwami zdenerwowanej załogi. Przewracano się i toczono po pokładzie. Tej pamiętnej nocy uzbierało się wiele pamiątek w postaci blizn, guzów i wybitych zębów. Nasza łódź poczęła brykać. Uderzana rytmicznie przez fale obijała się o stalowe płyty kadłuba. Obawialiśmy się, że lada chwila jej bok nie wytrzyma potężnych ciosów i załamie się.

Pół-automatycznie działający zwalniacz umożliwił nam szybkie uwolnienie się od lin i mocno odepchnęliśmy łódź od burty tonącego statku. Na pokładzie widać było jeszcze błyski latarek, wybijano szpile uwalniające fabrycznie wykonane tratwy, które zsuwały się z pochyłych „slipów", z hukiem wpadając do morza.

Resztki załogi, owijając dłonie chustkami lub czymkolwiek, co znalazło się pod ręką, zjeżdżała po linach do łodzi lub morza. Dziwnie ponury był to widok, nie pozbawiony jednak swoistej chociażby tragicznej piękności.Z podnoszonej na grzbietach fal łodzi na jaśniejszym tle nieba widać było czarne kontury komina i nadbudówek statku.

Morze błyskało snopami latarń, wmontowanych na łodziach, automatycznie sygnalizujących — SOS. Wiele małych czerwonych punkcików podskakiwało tu i tam, bujając się na falach i tworząc baśń z tysiąca i jednej nocy. Były to małe czerwone lampki umocowane do kamizelek ratunkowych, a każda kamizelka to człowiek, który nie znalazł jeszcze miejsca w łodzi lub na tratwie. Krążyliśmy, wyławiając poszczególnych członków załogi. Trzymaliśmy się jednak w bezpiecznej odległości od statku. Nikt nie chciał być wessanym przez wiry tonącego S-S „Southern Crossa".

Po upewnieniu się, że nie ma już ludzi w morzu, tratwy i łodzie udały się na poprzednio już ustalony punkt zborny. Raptem powietrzem tarknął odgłos drugiego wybuchu. Łódź podwodna wykańczała swą ofiarę. Z nie pokojem czekaliśmy na jej wynurzenie. Ku naszej uldze nie zjawiła się na powierzchni. Widocznie wolała zmykać. Na punkt zborny przybyły dwie tratwy i trzy łodzie. Wszystkie były przepełnione, ponieważ oprócz kilku wojskowych pasażerów statek wiózł część załogi dawno zatopionego handlowca. która wracała do swej bazy po drugiej stronie oceanu.

Przerzucono linki. Powiązane łodzie uszeregowały się, holując również połączone liną tratwy. Przede wszystkim zrobiono apel. Wiele głosów nie dało odpowiedzi. Po sprawdzeniu ogólnego stanu przystąpiono do wyznaczenia wacht. Zajęto się też budową brezentowej zasłony wzdłuż górnych krawędzi łodzi dla zabezpieczenia się od obryzgiwania i wdzierania się do wnętrz przejmująco zimnych fal.

Nawigator podał naszą pozycję i przy świetle specjalnej lampy huraganowej robił odpowiednie obliczenia. Najbliższa ziemia — Islandia... 450 mil... Nasza ewakuacja od chwili wybuchu pierwszej torpedy trwała 12 i pół minuty. S-S „Southern Cross" po powtórnym brutalnym ciosie poszedł na dno, żegnany w milczeniu przez ponurą i smutną załogę. Tak jeszcze jeden — piękny i lubiany przez znających go ludzi statek zniknął, by powiększyć cmentarzysko zachłannego dna Atlantyku.

Niemiłosiernie kołysani, przykrywając się brezentową nieprzemakalną płachtą, nawpół drzemiąc, z utęsknieniem oczekiwaliśmy świtu. Drżąc z zimna i drętwiejąc z powodu skurczonych z braku miejsca ciał wpadaliśmy w depresję. Dopiero teraz odczuwaliśmy zmęczenie i ból potłuczonych miejsc. Dotychczas na różnego rodzaju rany zdążono nałożyć tylko mocno prowizoryczne opatrunki. Jaśniejący w dali horyzont pobudził nas do życia. Wszystkie oczy wpatrzone były w dal, obserwując powolną zmianę zachodzącą w otoczeniu. Najpierw zajaśniało niebo, odseparowując się od ciemnej falującej masy morza. Mrok powoli ustępował rodzącemu się dniu.

Gwiazdy bledły. Poczęliśmy rozróżniać grzbiety fal i, z każdą chwilą bardziej wyraziste, zarysy łodzi, a nawet poszczególnych postaci. Z rana wstawiono maszty i rozwinięto żółte, z daleka widoczne żagle. „Sparks" znalazł się w naszej łodzi. Całą noc pracował przy automatycznym nadajniku, mającym zasięg około 120 km.

Niestety, nasza łódź, była tą, która przestrzelana przez Focke-Wulfa została prowizorycznie naprawiona przez naszego cieślę okrętowego. Baryłki z wodą zostały podziurawione. Musieliśmy korzystać z hojności naszych współtowarzyszy. Cały prowiant został sprawiedliwie podzielony pomiędzy łodzie i tratwy. Po dłuższej naradzie postanowiono rozdzielić się. Każda jednostka miała na własną rękę próbować dotrzeć do brzegów Islandii. Złączeni — traciliśmy na szybkości. Rozproszenie dawało większe szanse odnalezienia przez statek lub samolot. Po znalezieniu jednej łodzi lub tratwy łatwiej już doszukać się reszty, która musi znajdować się gdzieś w pobliżu.

Siódmy dzień... Każdy znał już ogrom tych słów. Wszyscy wiedzieli dobrze jak długą potrafi być minuta i godzina. Siedem dni tego piekła. Jakaś nieczysta siła musiała wpakować w ten właściwie tak krótki okres czasu większość ludzkich cierpień. Potwornie wykołysani harcami Atlantyku siedzieliśmy stłoczeni w swojej skorupce. W niepamięć już poszło znaczenie słów — „sucha nitka". Zziębnięci, wycieńczeni nękającą nas morską chorobą, nie wyglądaliśmy nadzwyczajnie. Dostawaliśmy dotkliwie kłujących kurczów. Odrętwiałe ciała odmawiały posłuszeństwa.

Niepodobni do ludzi sprawialiśmy wrażenie głodnej zgrai dzikich zwierząt. Upstrzone tygodniowym zarostem i liniami wycieńczenia twarze, przesiąknięte solą, nosiły wyraz całkowitej obojętności, idącej zawsze w parze z wyczerpaniem fizycznym i nerwowym.

Nikt nie miał siły, a może i chęci, przeciwstawiać się bujaniu fal i ciała przewalały się bezwładnie w takt miarowego kołysania się łodzi. Wiosła leżały wciągnięte. Sternik pochylony opierał się o rudel. Pomimo prądów i niekorzystnej pogody znajdowaliśmy się blisko celu. Ostatnie obliczenia mówiły — 80 mil...

Jakby przez sen rozległo się cichutenkie brzęczenie. Potęgowało się... rosło z każdą minutą, w końcu zamieniając się w wyraźny warkot silników samolotów. Poderwaliśmy się jak jeden. Ktoś załkał z rozpierającego wzruszenia. „Catalina" — latająca łódź! Samolot był pośrednią przyczyną naszych cierpień, — czyżby los przeznaczał go też na zbawcę?... Zapaliliśmy sygnały dymne. Machaliśmy jak wariaci czym popadło. Błyszczącym denkiem puszki puszczaliśmy „zajączki". Samolot leciał wysoko, mijając nas z prawej strony. Dziesiątki oczu przylepiło się do tej maszyny. Mózgi spontanicznie słały niemą prośbę. Duszę nurtowała przerażająca myśl: — może nie zauważy?... Radosny ryk tamowanych uczuć uderzył w niebiosa. Zawrócił!...

„Catalina" zniżając się zatoczyła krąg, pokiwała skrzydłami i poczybowała na północny wschód. Po trzech godzinach wróciła, celnie obrzucając nas bombami, ale tym razem dymnymi. Użyliśmy kotwicę morską, by nie oddalać się z oznaczonego miejsca. Gęsty dym bił wysoko tworząc długie kolumny — drogowskazy.

„Catalina" oddalała się od nas, znikała nam z oczu i znów wracała, by powtórzyć tę dziwną zabawę.

Nagle zrozumiałem: przecież ona naprowadza idący nam z pomocą statek. Wtedy zrobiłem rezolucję, że wszystkim spotkanym chłopakom z dywizjonu Obrony Wybrzeża będę — w skromnym zresztą zakresie mej kieszeni — stawiać wszystko, czego ich słodkie dusze zapragną. Wkrótce pojawiła się pełną parą idąca korweta. Silne dłonie szybko pomogły nam dostać się na pokład. Rozebranych, owiniętych w ciepłe, mile pachnące koce, poczęstowano wrzącą herbatą!

Objaśnienia.

U—boot = łódź podwodna (niem.).

Tea = herbata.

Chippie = przydomek nadawany cieślom okrętowym.

Sparks = przydomek nadawany radio - operatorom; ang. — iskry.

„Osaczony" = marynarz znajdujący się w zatarasowanym miejscu, nie mogący uwolnić się o własnych siłach.

Slip = pochylnia, po której zsuwa się przedmioty.

Film TYGODNIA



Przedstawiciele Sejmu i Rządu z premierem Cyrankiewiczem na uroczystej akademii w Romie po podpisaniu umowy o wzajemnej pomocy między Polską i Czechosłowacją



Premier Gottwald na akademii żałobnej w Pradze. Kwiaty złożono przy miejscu, zajmowanym dotychczas przez Min. Masaryka



Na zdjęciu Min Spr. Zagr. Czechosłowacji Jan Masaryk, wygłaszający jedno z ostatnich swych przemówień radiowych (SAP)



Min. Pragerowa przemawia na zjeździe kobiet P.P.S.

100 WIERSZY O SPORCIE

LIGA PIŁKARSKA ruszyła do boju całym swym składem; walczyło wszystkich 14 zespołów, a na wyniki meczów oczekiwały z niecierpliwością dziesiątki tysięcy kibiców. Już pierwsza niedziela przyniosła niespodzianki na boiskach: Tarnovia pokonała ŁKS 2:1, łódzki Widzew zwyciężył poznański ZZK 4:3, a warszawska Polonia została rozgromiona przez Wisłę 0:6.

Bardziej niż te wyniki zainteresował mnie jednak wyjazd piłkarzy Polonii bytomskiej do Warszawy po przegranym meczu z Legią. W osiem godzin po meczu zjawiła się przed jedną z redakcji warszawskich cała ekspedycja. Do lokalu redakcji chwiejnym krokiem wszedł rosły mężczyzna i podając się za prezesa klubu, prosił o odwiezienie całego zespołu ciężarówką na dworzec. Starano się wytłumaczyć mu, że auto może być w każdej chwili potrzebne do użytku redakcji, a piłkarze mogą przecież pojechać autobusem, który odchodził niemal sprzed domu redakcji aż do samego dworca.

Propozycja nie podobała się prezesowi, który zionąc alkoholem żalił się, że spotyka jego piłkarzy krzywda, choć w pocie czoła pracują dla parchoć w pocie czoła pracują dla klubu. Kiedy ulitowano się nad ekspedy prezes dał kierowcy adres restauracji. Widocznie trzeba było zabrać stamtąd jeszcze jakichś maruderów, albo „kropnąć" sobie po jednym na drogę. Przed restauracją prezes i kilku jego towarzyszy, którzy mieli jeszcze siły zejść z wozu, wysiadło, reszta towarzystwa porządnie „zalana" pozostała na miejscu.

Niedługo potem, kiedy przyjechano na dworzec prezes żalił się przed kierowcą, że ich tak strasznie poturbowali na meczu. Dziwne to były kontuzje, bo całe towarzystwo mocno zataczało się, a prezes podtrzymywał bardziej odeń chwiejącą się ofiarę boiska.

W takim to stanie opuszczali niewdzięczną stolicę piłkarze Polonii bytomskiej. Wszyscy z nich, niewątpliwie pracują, ale co będzie warta ich praca po nocnej podróży spędzonej w takich warunkach? A za kilka dni czeka ich nowy mecz. Jeśli przegrają, będą mieli znów okazję do „zalania robaka", a jak wygrają, to także pretekst. Ale co to wszystko ma wspólnego ze sportem, z kulturą fizyczną i pięknymi hasłami, którymi szafuje się na wszystkie strony. Czy mając takiego prezesa jak ten, który wodził swoją drużynę po restauracjach, można mu powierzyć wychowanie młodzieży? To nie chodzi już tylko o parodiowanie sportu, ale o zdrowie ludzi, których przez udział w sporcie ma się odciągnąć od niezdrowych pokus życia.

—0—

ZA 3 TYGODNIE odbędą się w Warszawie mistrzostwa Polski w boksie. Z góry już można przewidzieć, jak to wszystko będzie wyglądało. A więc tysiące ludzi gniotące się przed wąskimi wejściami do hali Ujeżdżalni. Wśród nich, oczywiście, setki osób bez biletu, tak już tradycyjnie. W hali wszyscy siedzą na cudzych miejscach, bo to przecież nie teatr, a „tylko" boks. Mnóstwo osób zrezygnuje z wejścia, choć będzie miało bilety, ale nie będzie chciało ryzykować swoich żeber.

Nie potrafimy chodzić na imprezy bokserskie, tak jak do niedawna nie potrafiliśmy przechodzić prawidłowo przez jezdnię. Jedni z nas zapomnieli, drudzy... nigdy tego nie umieli. Ale zorganizowano „tydzień nauki chodzenia" i jakieś tam postępy widać. I właśnie w związku z tymi mistrzostwami w boksie, przychodzi mi na myśl projekt zorganizowania „dnia nauki chodzenia na zawody bokserskie". Będzie to wymagało trochę wysiłku. Jeżeli nie wstydziliśmy się uczyć chodzić po ulicy, niech nas nauczą i chodzić na zawody. Bo to, co się dzieje obecnie na zawodach, nie wystawia nam świadectwa kultury. Z. W.

Kalendarzyk historyczny

15 MARZEC

44 (p. Chr.) zamordowanie Juliusza Cezara.
1872 zm. b. członek Rządu Narodowego w 1831 r., Stanisław Barzykowski.
1917 abdykacja Mikołaja I.
1930 odkrycie IV planety wszechświata Plutonu.

16 MARZEC:

1830 Pierwszy koncert Chopina w Teatrze Narodowy;
1839 ur. się poeta Sully-Prudhome;
1901 Premiera „Wesela" Wyspiańskiego w Krakowie;
1929 Otwarcie Instytutu Radiotechnicznego w Warszawie.

17 MARZEC:

1795 ur. się Józef Muczkowski, autor „Gramatyki języka polskiego".
1807 zm. Kazimierz Narbutt, autor „Logiki";
1826 zm. w Wiedniu założyciel „Ossolineum" Józef Ossoliński;
1832 Założenie we Francji „Towarzystwa Demokratycznego", przeniesionego w 1849 r. do Londynu;
1862 zm. kompozytor francuski Jakób Fromental (Eliasz Halevy), autor „Żydówki";
1921 Uchwalenie Konstytucji Marcowej.

18 MARZEC:

1455 zm. malarz Fra Giowanni Angelico da Fiesole;
1596 Przeniesienie stolicy z Krakowa do Warszawy;
1844 ur. się kompozytor rosyjski Mikołaj Rimskij-Korsakow;
1848 Wybuch rewolucji marcowej w Berlinie;
1871 Wybuch Komuny Paryskiej;
1918 Podpisanie Traktatu Ryskiego;
1945 Zdobycie Kołobrzegu.

19 MARZEC:

1542 ur. się hetman Jan Zamoyski;
1797 ur. się komediopisarz Józef Korzeniowski;
1823 zm. ks. Adam Czartoryski, generał Ziem Podolskich;
1833 Zaliwski przechodzi granicę pod Sandomierzem;
1887 zm. Ignacy Kraszewski;
1930 zm. Artur Balfour, twórca „Deklaracji" w sprawie Palestyny;
1945 Powrót Śląska Opolskiego do Polski.

20 MARZEC:

1673 zm. ks. Augustyn Kordecki, obrońca Jasnej Góry;
1828 ur. się dramaturg Henryk Ibsen;
1848 Wybuch powstania w Poznańskim. Uwolnienie polskich więźniów z Moabitu;
1856 ur. się Frederic Taylor;
1872 ur. się Karin Michaelis, pisarka duńska;
1921 Plebiscyt na Górnym Śląsku;
1925 zm. lord Curzon;
1929 zm. marszałek Ferdynand Foch;
1943 Rozstrzelanie 100 Polaków w Zgierzu;
1945 Wyzwolenie Francji.

21 MARZEC:

1838 ur. się kompozytor rosyjski, Modest Mussorgski, autor „Borysa Godunowa";
1865 ur. się Jan Sebastian Bach;
1898 zm. Klemens Szaniawski (Junosza);
1915 Bombardowanie Paryża przez Niemców;
1919 Ogłoszenie republiki na Węgrzech. Bela Kuhn;
1945 Zdobycie Zagłębia Saary.

22 MARZEC:

1599 ur. się artysta malarz Van Dyck;
1786 ur. się Joachim Lelewel;
1832 zm. Wolfgang Goethe;
1916 Chiny ogłaszają się Republiką;
1919 początek ruchu faszystowskiego we Włoszech.

Władysław Rymkiewicz

Kroki Rozwodowe

(Ciąg dalszy)

Dzień, w którym poznał Irenę Dembusową, uważał za równie przełomowy w swym życiu jak dzień, w którym został wyzwolony przez Czerwoną Armię z obozu.

Razu pewnego wracając z biura wszedł do drogerii po proszek do zębów. — Nie, proszę pani, nie pastę — tłumaczył grzecznie, odsuwając tubkę Chlorodontu. — Nie stać mnie na pastę. Jestem urzędnikiem i wróciłem niedawno z obozu. Proszek.

— Nie wygląda pan na takiego, który wrócił z obozu — zdziwiła się pani zza kontuaru. Włosy miała bardzo jasne, rozwichrzone i lotne jak puch, twarz długą z nadmiernie wysuniętą dolną szczęką, płowy, ledwie dostrzegalny meszek nad górną wargą, sztuczne rumieńce i ciemne, przepaściste, marzące oczy. Obcisły sweter w poprzeczne, żółte i brązowe pasy uwydatniał okrągłe i ponętne, ale zbyt obfite jak na gust Jasia kształty pani zza kontuaru.

— A jednak, proszę pani — odrzekł Jaś z powagą — przesiedziałem w obozie trzy lata.

Wybuch zdumienia i gest wzniesionej do ust dłoni. — Trzy lata!... Nie mam proszku, ale wobec tego sprzedam panu ten Chlorodont w cenie paczki proszku.

O, nie, na to Jaś niemógł się zgodzić! Gotów był raczej zapłacić normalną cenę za pastę do zębów.

Skończyło się wreszcie na dwudziestoprocentowym rabacie.

— Wiesz, czym od razu mnie ująłeś? — opowiadała później pani Irena. — Tym, że jesteś taki honorowy.

Odtąd Jaś co dzień zaglądał do drogerii pod firmą „Chryzantema".

W gumowym nieprzemakalnym płaszczu, bez kapelusza, z gapiowatym a nawet, rzec można, cielęcym wyrazem okrągłej, rumianej twarzy wieśniaka, przestępował próg sklepu.

Pani Irena słusznie zauważyła, że nie wyglądał wcale na takiego, który przeżył okropności piekła obozowego.

Gdy ukazywał się w drzwiach drogerii, ufny i naiwny, rozbrajający swą szczerością i prostotą, poprawiała szybko włosy i pociągała szminką usta.

Ruch w sklepie był zmienny. Czasem w ciągu pół godziny nie zajrzał pies z kulawą nogą, jak wyrażała się obrazowo właścicielka drogerii.

Przyjacielskie rozmówki przeszły niebawem w poufne zwierzenia. Jaś dowiedział się, że pani Irena miała przed powstaniem sklep apteczny w Warszawie, że mąż, który — jak mówiła — nosił ją na rękach, został rozstrzelany przez Niemców itd.

— Mam sklep, dobrze mi się powodzi, ale cóż z tego, kiedy jestem skazana na samotność! Nie ma nic gorszego dla kobiety — dowodziła — jak samotność. Wrócić wieczorem do domu i siedzieć samotnie w czterech ścianach rozumie pan, jakie to straszne?

— Rozumiem — przytakiwał Jaś i położył rękę na jej ręce. — Biedna pani!

A ona tego właśnie pragnęła! Żeby ją ktoś, to znaczy, porządny, uczciwy mężczyzna pogłaskał po ręce. I żeby — mówiąc metaforycznie — przez całe życie trzymał ja za rękę.

Jeżeli myślicie, o gruboskórni mężczyźni, że kobietom zależy na waszych karesach, to się grubo mylicie!... Kobietom zależy przede wszystkim na waszym sercu, one pragną czułości, pragną pieszczotliwych słów, pragną romantyzmu. Ale wy, o bezwstydni, w pewnych intymnych sytuacjach po osiągnięciu tego, czego pragnęliście, przykładacie głowę do poduszki i zaczynacie chrapać!

W ten sposób od proszku do zębów doszło do wzajemnej skłonności, a z kolei — do projektów matrymonialnych.

Jaś lubił atmosferę, panującą w drogerii. Gablotki na kontuarze, oszklone półki w szafach, cały inwentarz — wszystko było nieskazitelnie czyste, jakby wypolerowane, a w powietrzu snuł się zapach mydeł, szminki i kredy z miętą. Zawartość gablotek na kontuarze przedstawiała interesujący melanż różnokolorowych miseczek celuloidowych, szczoteczek do zębów, mydełek, grzebieni itp. Patrząc pożądliwie z góry przez szybę w drewnianych politurowanych na żółto ramach Jaś jak sroka miał chęć porwać i cynową miseczkę do golenia i pędzel, i oryginalne nożyki Gillette Blue Blades i wiele innych drobiazgów...

Na jasnych, żółtych półkach buteleki z wodą kolońską i flakoniki z różnokolorowymi perfumami wyglądały jak mozaika z drogocennych, przezroczystych minerałów akwamaryny, chryzoberylu, topazu.

W różnych miejscach sklepu wisiały lub były rozstawione plakaty z wyobrażeniem subtelnie zmysłowych, lalkowatych twarzy kobiet nieziemskiej urody z obnażonymi ramionami. Pod mgłą gazy lub powłoką jedwabiów, okrywających ich piersi, figurowały nazwy firm kosmetycznych złożone kunsztownie z liter o wyszukanej formie.

Jasna, zielona kotara z nowoczesnym deseniem figur geometrycznych zasłaniała wejście do pakamery.

Pani Irena z Jasiem chronili się tam często, a gdy do sklepu wchodził klient właścicielka drogerii ukazywała się zza kotary z błyszczącymi oczami i wypiekami na twarzy. W pakamerze też zapadła ważna decyzja wdrożenia kroków rozwodowych przeciwko energicznej posiadaczce parasolki, której druty i trzonek uwieczniły się już na plecach i w pamięci pary spiskowców zza kotary.

Toteż gdy Jaś otrzymał list od adwokata Orskiego, pobiegł natychmiast do drogerii i naradzał się długo za kotarą z narzeczoną.

W wyniku narad udał się do kancelarii adwokata i mniej więcej po godzinie wracał stamtąd bardzo strapiony. W Alei Kościuszki usiadł na ławce i wiódł osowiałym spojrzeniem po świecie. Zakochane pary przechadzały się beztrosko po żwirowanej alei w szpalerze włoskich topól. Szczęśliwi!



Rys. Kazimierz Mann

... właścicielka drogerii ukazywała się z za kotary...

Przed wejściem do namiotu wędrownego cyrku państwowego, skąd rozlegały się burzliwe melodie wojskowych marszów, tłoczyła się ciżba ludzi. Ci również doświadczali szczęścia, które nabywali po umiarkowanych cenach urzędowych.

Natomiast szczęście dozgonnego trzymania za rękę Irenki było dla Jasia nieosiągalne, bowiem pierwsza żona żądała za wyrażenie zgody na rozwód dwustu tysięcy.

Jaś, który jak wiemy zarabiał trzy tysiące złotych miesięcznie, wytrzeszczył oczy, gdy adwokat wymienił astronomiczną sumę żądanego odszkodowania.

— To nie na moją kieszeń, panie mecenasie — powiedział z gorzkim uśmiechem i opuścił zgnębiony kancelarię wyperfumowanego adwokata.

— Nic z tego! Jadźka nie zgadza się na rozwód — skłamał, żeby nie spłoszyć i nie zniechęcić narzeczonej. Naiwny człowiek, nie znał się na interesach, źle szacował drogerię, przypuszczał, że Irenka musiałaby chyba sprzedać cały sklep, żeby pokryć fantastyczne pretensje pierwszej żony. Oprócz tego nie doceniał wartości własnej osoby w czasach, kiedy — jak wykazywała urzędowa statystyka — na jednego mężczyznę przypadły dwie i pół kobiety.

— Nie zgadza się? Nie szkodzi! — powiedziała kandydatka na drugą żonę, usposobiona z natury optymistycznie. — Sąd ją zmusi!

Ale Jadwiga z domu Kłopotowska nie stawiła się do sądu.

Sprawa była wyznaczona na dziewiątą. Jaś, podenerwowany, biegał po korytarzu, wychodził na schody, szukał i wypatrywał swej pierwszej żony jak zakochany wyczekujący na ukochaną, która się spóźnia na randkę.

Wskazówki na okrągłej tarczy wielkiego zegara w sądzie posuwały się z niewidocznym okrucieństwem ku dziesiątej, a upragniona pierwsza żona nie przychodziła.

Pani adwokatka, Janina Menkes, tłumaczyła po raz trzeci z iście anielską cierpliwością swemu klientowi, zadyszanemu i spoconemu. — To jest sesja pojednawcza i strony powinny się stawić osobiście, żeby wysłuchać sędziego, który im zaproponuje pogodzenie się. Czysta formalność, ale już tak jest i bez tego nie może się obyć.

Głos miała skrzypiący jak źle naoliwiona furtka włosy szpakowate i potargane jak wiedźma, nos haczykowaty, oczy czarne i świdrujące klienta aż do dna jego portfelu twarz pomarszczoną i szarą.

Ale traktowała klientów, nieświadomych prawa i jego arkanów tak, jak na to zasługują naiwni, to znaczy z pobłażaniem.

— Jeżeli pańska żona nie stawi się, to sąd odroczy sprawę.

Jaś nie mógł tego pojąć. Wycierając spocony kark, wyrażał po raz czwarty swe obiekcje: — Jeżeli się nie stawi, to znaczy, że się nie zgadza na rozwód?... Jasne? Po cóż więc odraczać sprawę?

— Żałuję bardzo — brzmiała odpowiedź — ale nic na to nie mogę poradzić. Taki jest przepis prawa.

Pani mecenas zerkała przy tym na boki. Bowiem po korytarzu chodził wyperfumowany Orski, huśtał nieznacznie teczką z żółtej świńskiej skóry i uśmiechał się pod nosem. Domyślała się że coś knuje.

Wreszcie podszedł i oświadczył chłodno: — Przepraszam, nie mogę dłużej czekać. Dziesiąta.

— A gdzież pańska klientka? — ofuknęła go pani mecenas.

O ile w stosunku do swych klientów przestrzegała form uprzedzającej grzeczności, o tyle do adwokatów, którzy byli jej przeciwnikami procesowymi, odnosiła się wyniośle, a często — opryskliwie.

Adwokat Orski odchrząknął tajemniczo i wycofał się bez słowa, zniknął za wysokim skrzydłem drzwi sali sądowej.

Niebawem woźny wywołał sprawę małżonków Niebudków.

Jaś rzucił się ochoczo na wezwanie. — Jestem!

Za stołem sędziowskim na drewnianym podwyższeniu w rodzaju estrady siedziała na fotelu z wysokim oparciem wielka i tęga kobieta-sędzia w czarnej todze. Rozparta z królewską niedbałością w fotelu z odrzuconą władczo w tył dużą miedzianowłosą głową, wskazała monarszym gestem wyciągniętej ręki na miejsce, na którym powinna się znajdować Jadwiga Niebudkowa u boku swego pełnomocnika.

— A gdzież pozwana?

Mecenas Orski ruszył w lansadach i ukłonach do stołu sędziowskiego. W jednej ręce trzymał ćwiartkę papieru: pełnomocnictwo; w drugiej — wąski karteluszek wyrwany z receptariusza: świadectwo lekarza Ubezpieczalni Społecznej.

Z fałszywym uśmiechem wręczył oba papierki miedzianowłosej niewieście za stołem sędziowskim i natychmiast cofnął się przezornie o parę kroków jakby ze strachu, żeby nie oberwać guza. (A to tylko jego nieczyste sumienie, moi drodzy, było przyczyną takiego tchórzliwego zachowania się, bo jeśli pamiętacie, to on właśnie podsunął swej klientce myśl psłużenia się fałszywym świadectwem lekarskim!)

Trzeba dodać, że konstytucja cielesna kobiety za stołem sędziowskim wzbudzała w Orskim respekt połączony z uczuciem leku i niechęci.

— Wiecie — zwierzał się kiedyś kolegom w pokoju adwokackim — ja się tej baby wprost boję! Ja lubię małe, fertyczne kobietki!...

Zacierał przy tym smakowicie ręce.

— Ale taka dragon baba?... Nie, nie, panowie, nie przesadzajmy! Sto kilo kobiecości w jednej osobie to ponad siły współczesnego mężczyzny! A w ogóle do czego to podobne: mamy nie tylko reformę rolną i nacjonalizację przemysłu, ale ponadto — kobiety sędziami. I wy się dziwicie, że ja się nie mogę pogodzić z obecnym reżimem?

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

NAUKA I POSTĘP

OSZCZĘDZAJMY NASZ WZROK

Oczy ludzkie są nie tylko — poetycką przenośnią określając — „zwierciadłem duszy", są one również jednym z najważniejszych narządów ludzkiego organizmu, którego bezcenną wartość najlepiej rozumieją ci, co wzrok utracili lub co go tracą.

Przeciętny zdrowy człowiek w życiu codziennym przyzwyczaił się do tego stopnia do zjawiska „widzenia", że wykonuje tę funkcję najzupełniej mechanicznie, odruchowo i nie zastanawia się wcale nad czynnością i — ciężką często pracą własnych oczu.

Brak właściwej oceny pracy oczu kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo, gdyż prowadzi w prostej linii do lekkomyślnego zużywania i psucia wzroku, którego naprawa jest już zazwyczaj prawie niemożliwością. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że oczy zasługują co najmniej na równie pieczołowitą opiekę jak i inne części organizmu.

W JAKI SPOSÓB WIDZIMY?

Oko składa się z ciała kulistego, posiadającego z przodu — na zewnętrznej stronie — soczewkę, pod którą znajduje się tzw. tęczówka, nadająca oczom kolor piwny, niebieski lub zielony. Po środku okrągłej tarczy tęczówki znajduje się otwór zwany źrenicą, która odruchowo zwęża się lub rozszerza, zależnie od tego, czy promienie świetlne, przenikające nasze oczy, wpadają strumieniem dużym czy małym. Tak samo jak źrenica, mogąca zmieniać formę w zależności od natężenia światła, zachowuje się soczewka. Ona również — regulowana małymi mięśniami — staje się bardziej płaska lub bardziej wypukła, co w następstwie wpływa na siatkówkę, znajdującą się w części wewnętrznej oka, i w ten sposób uzyskujemy wyraźny obraz przedmiotu umieszczonego w bezpośrednim pobliżu lub w pewnym oddaleniu.

Siatkówka przekazuje uchwycone wrażenia świetlne za pomocą nerwu optycznego do specjalnej komory w mózgu. Tam zachodzi skomplikowany proces, którego wynikiem jest z d o l n o ś ć w i d z e n i a.

Jak z powyższego wynika w i d z i e ć m o ż n a t y l k o p r z y ś w i e t l e, ponieważ w gruncie rzeczy widzimy **nie** dany przedmiot, tylko odbicie promieni świetlnych od danego przedmiotu i właśnie te promienie działają na nasz nerw optyczny.

PRZYCZYNY PRZEMĘCZENIA OCZU

Oczy mogą być równie przemęczone jak i inne części naszego organizmu.

Kto z nas — przeciętnych śmiertelników — posiada na tyle zdrowe zęby, żeby bez obawy, systematycznie... żuć kamienie, lub żołądek zasilany notorycznie... ostrzami do golenia?!... Zapewne — nikt; Dlaczego więc znęcamy się nad własnymi oczami — aż do ostatka, aż do tragicznego skutku — kompletnego wyczerpania?!...

Dobrze to zapamiętajmy! — oczy nasze nie mogą spokojnie spełniać swojej bezcennej funkcji inaczej — jak tylko i koniecznie przy należytym oświetleniu. Dobry wzrok i dobre oświetlenie są związane z sobą n i e r o z e r w a l n i e!

JAKA ILOŚĆ ŚWIATŁA JEST NAM POTRZEBNA?

Dla określenia jednostki jasności światła we wnętrzach używamy terminu — „lux". (Jeżeli strumień świetlny o sile 1 lumena (jednostka strumienia świetlnego) rozchodzi się równomiernie ze źródła światła co sekundę i pada na 1 m. kw. powierzchni, to każdy jej punkt w tym wypadku posiada jasność 1 luxa).

Natężenie jasności w pełnym słońcu, przy pięknej pogodzie w pełni lata wynosi ca. 100.000 luxów. Przy takiej intensywności świetlnej oczy nasze nie mogą pracować i należy je odpowiednio chronić.

Jeśli jednak przy tych samych warunkach znajdziemy się w cieniu drzewa — będziemy mieli tylko ca. 10.000 luxów jasności świetlnej. Ta intensywność reprezentuje w rzeczywistości światło idealne, którym nas darzy natura. Już jednak na przysłoniętej werandzie nie będziemy mieli o wiele więcej niż 5.000 luxów. Przed oknem w pokoju ilość ta zmniejsza się do 2 — 3.000 luxów, a w samym pokoju przy stole wynosi 400 — 500 luxów.

Mówiliśmy dotychczas o świetle słonecznym — naturalnym, lecz — niestety — człowiek naszych czasów przedłużył sobie dzień do późnych godzin nocnych i ogromny odcinek swego krótkiego życia spędza przy świetle sztucznym.

Jeżeli bytowanie przy świetle sztucznym polegałoby jedynie na tzw. „słodkim wypoczynku, zabijaniu czasu i wałkoństwie" — sprawa nie przedstawiałaby się tak tragicznie dla naszych oczu. Niestety — musimy pracować: pisać, czytać, szyć, uczyć się itd. itd.. — i to niejednokrotnie przy świetle sztucznym nie przekraczającym 30 luxów. Tak mizernym oświetleniem — rzecz oczywista — maltretujemy nasz wzrok naprawdę bezlitośnie.

Żeby patrzeć na świat i widzieć — oczy nasze zużywają codziennie pewne ilości energii nerwowej.

Dlatego człowiek musi regularnie i systematycznie wspomagać źródła swych zasobów energetycznych przez odpowiednie odżywianie, sen i odpoczynek.

Wraz z postępującym spadkiem energii z racji niekorzystnych warunków oświetleniowych, praca nasza staje się coraz trudniejsza, jej wydajność maleje i zjawisko przemęczenia wraz z zaburzeniami nerwowymi występuje nagle z wielką siłą.

Dłuższa praca przy złym oświetleniu powoduje bóle głowy i bezsenność, nie mówiąc już o tym, jak poważne pociąga za sobą następstwa, jeżeli chodzi o sam wzrok.

Albo są dobre oczy, albo ich nie ma — podobnie jak z uzębieniem — dobrym i zużytym. Tylko że dentysta może nam zawsze wprawić nowe zęby, natomiast popsutych oczu nic już nie uzdrowi — nawet najlepsze światło. Dobre oświetlenie nie zastąpi pary okularów, lecz co ono może zawsze zdziałać — to napewno przesunąć stosowanie szkieł o kilka lat później.

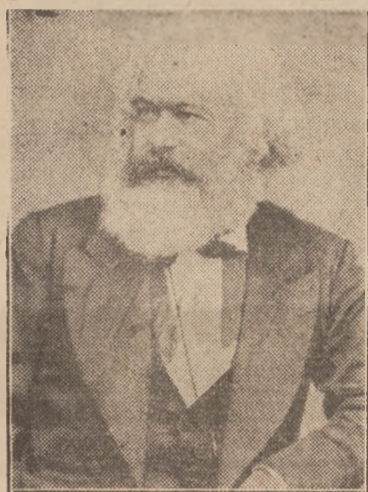
Urządzenia oświetleniowe, dostarczające wyżej wymienionych ilości światła nie są wcale jakimś przesadnym luksusem. Należycie dawkowane oświetlenie potrafi na pewnym odcinku udowodnić człowiekowi, jak wiele wzroku umiało mu zaoszczędzić.

Instalacja nowych ognisk świetlnych lub wzmocnienie już istniejących, jest stosunkowo niewielkim wydatkiem w zestawieniu z osiągnanymi wynikami w dziedzinie ochrony oczu. Chrońmy więc swój skarb bezcenny — wzrok przed największym jego wrogiem, jakim jest z ł e o ś w i e t l e n i e.

W. M.

WYMAGANE OŚWIETLENIE DLA RÓŻNYCH RODZAJÓW PRACY

	Dobre oświetl.		Oświetlenie średn.	
W mieszkaniu:				
Lektura dorywcza	125	luxów	80	luxów
„ systematyczna	250	„	125	„
Prace domowe: szycie, naprawy, robótki ręczne	500	„	250	„
Praca w kuchni	125	„	80	„
W Szkole:				
Klasy	250	„	125	„
Sale rysunkowe	500	„	250	„
Sale do lekcji szycia i robótek	500	„	250	„
W biurze:				
Normalne prace biurowe: daktylografia, buchalteria, czytanie, pisanie, praca na maszynach biurowych	500	„	250	„
Prace kreślarskie i rysunkowe	1000	„	500	„
W zakładach przemysłowych:				
Prace b. precyzyjne: montaż zegarków, drobnych instrumentów, roboty grawerskie itp.	2000	„	1000	„
Precyzyjne prace montażowe: tokarskie, na prasach itd.	1000	„	500	„
Prace normalne: przy borach, tokarkach i grubszych montażach	500	„	250	„
Prace proste: w hutach, walcowniach itd.	125	„	80	„



65-a ROCZNICA ŚMIERCI Karola MARKSA

14 marca minęło 65 lat od śmierci głównego twórcy socjalizmu naukowego Karola Marksa stało się symbolem nowoczesnej myśli socjalistycznej, będącej podbudową ideologiczną socjalizmu światowego oraz kośćcem światopoglądu materialistycznego w filozofii.

„OCZEKIWANIE" BROSZKIEWICZA

„Oczekiwanie" Jerzego Broszkiewicza jest debiutem, który zadziwia swoją dojrzałością i odkrywczością psychologiczną. Jest to pierwsza we współczesnej literaturze polskiej powieść, ukazująca nie uczuciowo, lecz intelektualnie prześladowania Żydów podczas okupacji. Problem żydowski jest tworzywem; właściwym zagadnieniem, interesującym autora, to człowiek, jako problem artystyczny. Humanizm „Oczekiwania" polega na tym, że sprawa żydowska jest soczewką, potęgującą ostrość widzenia psychologicznego, autor — **patrzący na** zjawisko z zewnątrz, ze współczuciem i zrozumieniem, ale i z bardzo ludzkim **obiektywizmem** — umiał pokazać odrębność reakcji opisywanego przez siebie środowiska, a zarazem zdumiewające swą wielobarwnością różnice odczuwań poszczególnych bohaterów. Mimo intelektualnej i nawskroś nowoczesnej konstrukcji literackiej, ta wzruszająca opowieść pozostawia nam silną i niezapomnianą wizję zdarzeń i ludzi o tak ostro zarysowanym profilu, jak poeta i marzyciel żyjący w świecie swej wyobraźni — Stefan, nieco histeryczny sceptyk, dr Grosmeier i inni.

Autor, którego fotografię zamieściliśmy w nr 9 (85) „Tygodnia", z zawodu muzyk, napisał swą książkę na podstawie pamiętnika, pozostawionego przez zmarłego kolegę i przyjaciela Żyda, który zginął podczas wojny. Chcąc dać świadectwo tej śmierci, Broszkiewicz porzucił muzykę dla literatury. Obecnie jest redaktorem „Ruchu muzycznego" i recenzentem literackim Krakowskiego „Naprzodu", a równocześnie pisze nową powieść pt. „Obcy Ludzie".

Powieść Jerzego Broszkiewicza stanie się na pewno doniosłym wydarzeniem w polskim życiu literackim. **W.**



1) W pełnym słońcu lata: 100.000 luxów, 2) W cieniu drzewa: idealne światło dla oczu — 10.000 luxów, 3) Na werandzie: 5.000 luxów, 4) W pokoju przed oknem: 2.000 — 3.000 luxów, 5) W większości mieszkań wieczorem: poniżej 30 luxów,

NIEREALISTYCZNY REALIZM

„NOCE GNIEWU“ ARMANDA SALACROU NA SCENACH ŁODZI I WARSZAWY

Bezpośrednio po odsłonięciu kurtyny na scenie rozlegają się salwy pistoletowe. Dwaj ludzie rażeni strzałami padają na ziemię. W pierwszym momencie nie orientujemy się w sensie rozgrywającego się zajścia, jak gdybyśmy byli przypadkowymi świadkami krwawej rozprawy na ulicy. Dopiero z urywkowych słów i wykrzykników orientujemy się, że został wykonany wyrok śmierci francuskiego ruchu oporu na dwuch zdrajcach.

Ta pierwsza, trwająca zaledwie sekundy, sytuacja sceniczna z miejsca wiąże widza sugestywnością skrótu, charakteryzującego w sposób prosty stosunek przypadkowego przechodnia do fragmentu walki podziemnej, która rozegrała się na jego oczach. Przechodzień widzi, że jacyś ludzie strzelają do innych ludzi i w pierwszej chwili nie wie, o co tutaj chodzi, kto zabił kogo, z jakiej przyczyny. Widzi tylko urywek, a właściwie epilog całego splotu wydarzeń, widzi już tylko rozstrzygnięcie długotrwałej walki, obfitującej w szereg epizodów i wynikłej znowu z wcześniejszych jakichś wydarzeń, zamykających być może samą istotę konfliktów ludzkich i społecznych jego czasu. Los może zdarzyć, że przypadkowy świadek strzałów dowie się później z czyjegoś opowiadania czy innej relacji o tym, jaki łańcuch przyczyn złożył się na to, że w jego oczach zabito dwuch ludzi. Dowie się więc, że jednym z zabitych był niejaki p. Bernard Bazire, solidny mieszczanin, ojciec rodziny, człowiek o nieskazitelnej opinii, uczestnik pierwszej wojny światowej. Dlaczego zginął z rąk patriotów? Bo jest zdrajcą. Wydał w ręce Gestapo bojowca ruchu oporu Jana Cordeau, który, ranny po zamachu na pociąg wojskowy szukał schronienia w jego mieszkaniu. Cordeau, storturowany i oślepiony przez oprawców dogorywa obecnie w piwnicy Gestapo. Czyż to możliwe? Czy Bernard Bazire mógł zdobyć się na czyn tak podły? Był przecież dobrym człowiekiem, a przy tym z Janem Cordeau łączyła go przyjaźń. Znali się od dzieci. Przed wojną państwo Cordeau bywali u państwa Bazire... Panowały między nimi stosunki zażyłości i przyjaźni. Potym wojna, okupacja. Cordeau wstępuje w szeregi ruchu oporu, Bazire kryje się w zaciszu domowym, słucha wprawdzie radia londyńskiego, ale myśli tylko o własnej skórze i „nie chce wiedzieć o niczym“. W tym czasie Cordeau z grupą towarzyszy dokonuje zamachu na transport z materiałem wojennym. Ranny szuka nocą schronienia w domu dawnego przyjaciela. Państwo Bazire, niespodziewanie i wbrew ich woli wplątani w straszliwą sprawę walki podziemnej ogarnia przerażenie oraz gniew na intruza, który wdarł się do ich zacisza, zburzył spokój i wszelkie rachuby... W rezultacie...

Tym szlakiem mógłby iść opis faktów, które doprowadziły do egzekucji zdrajców — opowiedziany ustnie lub na papierze. Tak też z grubsza wygląda na scenie. Sztuka rozpoczyna się od sytuacji chronologicznie przestawionej, która, przy historycznym ustawieniu faktów musiałaby znaleźć się przy końcu. Po tym następuje scena najwcześniejsza z pośród przedstawionych — wizyta państwa Cordeau u państwa Bazire przed wojną. Potym — zamach bojowców na pociąg — już podczas okupacji. Następnie — scena tejże nocy w mieszkaniu Bazire, gdzie ranny podczas zamachu Cordeau szuka schronienia. Wreszcie — epilog. To złamanie klasycznych reguł teatru i zupełnie dowolne operowanie czasem w widowisku scenicznym robi wrażenie niezwykłości i mógłby być uznane za chwyt, mający na celu głównie wywołanie efektu, gdyby nie to, że ta konstrukcja, zbudowana z pogwałceniem reguł czasu i rzeczywistego następstwa faktów, tworzy całość logicznie uzasadnioną i powiązaną. Budowa „Nocy Gniewu“ nie jest jakimś dziwactwem, a tylko śmiałą próbą wprowadzenia na scenę konstrukcji, która od dawna już zyskała sobie prawo obywatelstwa w literaturze i nie tylko w literaturze. Nie tylko w powieści o fantazyjnej budowie ciąg czasowy bywa pocięty i pomieszany w zmienionej kolejności. Z podobnym porządkiem spotykamy się nawet w tak suchych i ścisłych elaboratach, jak akta sądowe.

Jeżeli prokuratorski akt oskarżenia rozpoczyna się często od faktu końcowego w łańcuchu wydarzeń (dnia.. przy ulicy... znaleziono zwłoki mężczyzny zamordowanego wystrzałem z rewolweru w głowę) poczym dopiero następuje opis wydarzeń poprzedzających zbrodnię, żeby w kokluzji dojść do ustalenia sprawy i jego winy, to nie w celu wywołania efektu, a tylko właśnie dla tym bardziej przejrzystego i logicznego (chociaż sprzecznego z chronologią) powiązania faktów. Jeżeli następstwo chronologiczne nie obowiązuje w literaturze, relacjach z wydarzeń, jakie zwykliśmy sobie wzajemnie przekazywać ustnie — a nawet w aktach urzędowych — dlaczego miałoby stanowić regułę bezwzględnie obowiązującą dramatopisarza? Salacrou obala ją w swojej sztuce i czyni to w sposób przekonywujący.

Ale na tym nie koniec. W „Nocach Gniewu“ mamy nie tylko pomieszanie czasu, ale wyjście również poza czas, sceny poza czasem i przestrzenią, rozmowy pomiędzy żywymi i umarłymi, oraz nieobecnymi.

W pierwszej odsłonie, po dokonanej na zdrajcach egzekucji, ciała zastrzelonych leżą na ziemi, zaś jeden z bojowców, odwrócony do nich plecami stoi w oknie z pistoletem automatycznym w ręku, gotów do odparcia oblężenia policyjnego. Okazuje się jednak, że jeden z leżących, szpicel Gestapo — zaprzaniec Pisancon żyje jeszcze. Pisancon wyjmuje pistolet i strzela w plecy bojowca. Obaj wymieniają między sobą przekleństwa i konają.

Taka sytuacja mogła się zdarzyć w realnym życiu. Ale chwilę potym dwaj ludzie, którzy przed chwilą pomordowali się wzajemnie rozpoczynają rozmowę i spór pośmiertny. Po tym toczą się dalsze spory, polemiki i wzajemne oskarżenia, w których biorą udział na równych prawach żywi i umarli. Miesza się w to jeszcze i Jan Cordeau, kóry wprawdzie jeszcze nie umarł, ale za to znajduje się zupełnie gdzieindziej niż pozostali, w innym mieście, w więzieniu Gestapo. To obcowanie we wspólnych, zbiorowych scenach pomiędzy żywymi, umarłymi i nieobecnymi nie ma nic wspólnego z upiorami, seansem spirystycznym i sceniczną makabrą. Sceny te i głosy przeczą niby realnym prawom rzeczywistości. Ale nie przeczą logice ludzkiego bytowania. W naszej świadomości istnieje niewątpliwie węzeł wiążący zabójcę z zabitym, choćby obaj już nie żyli. A ileż razy zdarza nam się toczyć spory ze zmarłymi. Ile razy liczymy się z ich rzekomą opinią przy ocenie własnych czynów? Ostatnia wojna i wielka rozłąka przekonała nas również, jak wiele miejsca w naszym życiu i świadomości zajmować mogą nieobecni, choć by oddaleni od nas przestrzeniami lądów i mórz, oddzieleni murami więziennymi i zasiekami kolczastych drutów. Przez pomieszanie czasu i przestrzeni, przez przekroczenie progu śmierci Salacrou zmierza do osiągnięcia pełnego stosunku człowieka do wydarzeń.

Omawiając sztukę Salacrou skupiłem się świadomie na jednym tylko punkcie widzenia, obierając zagadnienie konstrukcji — najbardziej bezpośrednio uderzające widza i budzące wiele sprzecznych opinii. Bogata problematyka „Nocy Gniewu“ porusza — jako zagadnienie główne — kwestię sensu bohaterstwa, („trzeba być odważnym — aby być szczęśliwym“) sensu poświęcenia własnego życia dla wyższego celu, ludzkiej odpowiedzialności za czyny i ludzkiej możności wpływania na los — te kwestie wymagałyby osobnych omówień.

mar.

Takich więcej



Młodzi pracownicy Banku Gospodarstwa Spółdzielczego w Warszawie ob. ob.: **M. Gajewski, Zb. Nowicki i R. Kijek**, z poczucia obowiązku, z własnej woli pracowali bez przerwy 36 godzin celem wykonania w terminie remanentu dowodów inkasowych dla Komisji Rewizyjnej Banku. W ciągu tego czasu sprawdzili dwie skrzynie dowodów i sporządzili bez błędów wykaz, obejmujący 52 strony pisma maszynowego (bez interlinii).

Są to młodzi chłopcy, w wieku 23—26 lat, którzy z zażenowaniem odpowiadali na pytania reportera i pozwolili sfotografować się dopiero po zakończeniu zajęć biurowych.

Mamy nadzieję, że nie jest to odosobniony wypadek i że przykładów ofiarnej pracy będzie wiele. Zawsze chętnie poświęcimy trochę miejsca tym, którzy spełnienie obowiązku stawiają na pierwszym planie.

Szał twórczy

Szał „radosnej twórczości“ polegający na bezceremonialnych zmianach uświęconych tradycją nazw ulic w różnych miastach Polski osiągnął chyba punkt kulminacyjny w „historycznej“ uchwale Stołecznej Rady Narodowej, która za jednym zamachem wymazała z mapy Warszawy m. in. Żelazną, Królewską, Kruczą, wpisując w to miejsce nazwy — bardziej patriotyczne. Uchwała pozostanie zapewne tylko na papierze, bo należy wątpić, żeby dla któregokolwiek warszawiaka np. ul. Królewska nagle przestała być Królewską, albo Żelazna — Żelazną. Tym niemniej niefortunny pomysł ojców miasta Warszawy obudził protesty na łamach wielu pism periodycznych i codziennych, niezależnie od ich politycznego zabarwienia.

Przypomnijmy, co na temat praktyk podobnych pisał „Tydzień“ już 8 grudnia 1946 r.:

„...Z ignorancką lekkomyślnością i czołobitnym entuazjazmem wymazujemy szanowane dokumentalne nazwy ulic, narzucając im nazwy osób, czy idei, które chcielibyśmy uczcić. Wygląda to tak, jak by dla wyrażenia czci zasłużonemu mężowi stanu czy bohaterowi trzeba było wysadzić w powietrze stary pomnik, albo inny zabytek sztuki. Czy można czynem antykulturalnym oddać hołd osobom czy ideom, tworzącym właśnie nowe pozycje kultury narodowej“.

I dalej —

„Przeżywamy okres jedyny w historii. Okres odbudowy. Powstają i powstawać będą nowe ulice, nowe dzielnice, całe miasta wybudowane na miejscu miast zniszczonych. Czy tego nie dość? Czy nie słuszniej upamiętnić epokę odbudowy w nazwach ulic, będących jej dziełem, nazwać te nowe ulice imionami ludzi, przodujących dzisiejszym czasom, oraz imionami ożywiających nas dzisiaj — idei? Czyż to nie będą pomniki uzasadnione, trwałe i potężne na miarę potężnych wysiłków, osiągnięć i odbudowy?“

POECI I PISARZE W ANEGDOCIE



DOBRA KAWA

Znany pisarz francuski Feydeau (1821 — 1893), przybył razu pewnego do oberży wiejskiej i zapragnął napić się kawy.

— Słuchaj, moje dziecko — zapytał służącej — czy macie w [illegible] cykorię?

— Owszem mamy.

— Ile paczek?

— Ze trzydzieści.

— Przynieś mi je wszystkie.

Służąca wyszła i po chwili wróciła z trzydziestoma paczkami cykorii.

— To wszystko? Więcej już nie macie cykorii w oberży?

— Nie, nie mamy, proszę pana.

— No, to teraz przygotuj mi czarnej kawy.

REGULARNA OPŁATA ZAPEWNIA PUNKTUALNE DORĘCZANIE „TYGODNIA"

Mleczarstwo Doln. Śląska organizuje się i dźwiga z powojennego upadku

Okręgowy Oddział Mleczarsko - Jajczarski „Społem" we Wrocławiu, poza swoimi normalnymi zadaniami (odbiór i rozprowadzenie produktów nabiałowych) miał jeszcze do wykonania dodatkowe obowiązki, jak przejęcie, zabezpieczenie i uruchomienie mleczarń poniemieckich oraz organizowanie spółdzielni mleczarskich.

W wyniku intensywnych prac jeszcze w 1946 r. uruchomiono 53 zakłady z czego przekształcono na spółdzielnie 32 mleczarnie, 15 pozostawiono pod zarządem Okręgowego Oddziału, a 6 prowadziły Gminne Spółdzielnie „Samopomocy Chłopskiej". Około 100 zakładów mleczarskich pozostało jeszcze do uruchomienia. Jedną z najpoważniejszych przyczyn ich bezczynności jest niski stan pogłowia krów, który w r. 1945 wynosił zaledwie 10% stanu przedwojennego. Ten niski stan pogłowia uniemożliwił uruchomienie i racjonalną eksploatację wszystkich mleczarń, obliczonych na duży przerób.

Uruchomiono natomiast 9 nowych mleczarń.

Stan pogłowia krów w 1947 r., dzięki akcji Min. Rolnictwa i sprowadzeniu na Dolny Śląsk żywego inwentarza przez przesiedleńców, podniósł się do 161.000 szt., co stanowi 20% stanu przedwojennego.

W związku z tym w planie Okręgowego Oddziału jest uruchomienie dalszych 40 zakładów mleczarskich. Plan ten zrealizowany będzie w miarę wzrostu pogłowia krów. Pozostałe zakłady zostaną zdemontowane, a ich urządzenia pójdą na uzupełnienie sprzętu częściowo mleczarń na Dolnym Śląsku, a częściowo — w Polsce centralnej.

Obecnie mleczarstwo Spółdzielcze na Dolnym Śląsku nastawione jest na produkcję mleka konsumcyjnego. W listopadzie 1947 r. Fundusz Aprowizacyjny zakontraktował dostawę 36.000 ltr. mleka konsumcyjnego, a w lutym br. dostawę 1 miliona ltr. Pod względem produkcji masła Okręg Wrocławski jest deficytowy. Masło sprowadza się z woj. Poznańskiego, Pomorskiego i z centralnej dyspozycji Wydziału Mleczarskiego „Społem" w Warszawie.

W zakresie jajczarstwa Okręgowy Oddział posiada dotychczas 5 rejonowych zbiornic jaj. Stan ten spowodowany jest niskim pogłowiem kur. Śląsk nie jest w tej dziedzinie samowystarczalny. W br. projektuje się zaledwie zakup 5.300.000 jaj na miejscu, przy zapotrzebowaniu 22.500.000 szt. Brakującą ilość pokryje import jaj z terenu innych województw.

W r. b. zostanie zorganizowana i uruchomiona tuczarnia drobiu w Bielanach k. Wrocławia. Będzie ona w stanie wytuczyć 18.000 gęsi. Okręgowy Oddział zatrudnia obecnie 95 pracowników.

Magazyny Oddziału są dostateczne, nie wszystkie jednak zdołano doprowadzić do porządku. Tabor samochodowy składa się z 7 wozów ciężarowych, 3 osobowych i 3 motocykli dla terenowych instruktorów jajczarstwa.



Odpowiedzi Redakcji

P. Witold Kołajtis — Ostróda ul. Olsztyńska 20 Przepraszamy Pana za to, że dotychczas Administracja nasza nie wysłała Panu wylosowanych nagród w postaci dwóch prenumerat i zgodnie z życzeniem Pana zamieniamy ją na nagrodę książkową. Książke wysyłamy pocztą. Podpis pod „Sklerozą" został omyłkowo pominięty.

P. Wacław Grochowski — Kielce ul. Hipoteczna 2. Następny numer „Rozrywki" ukaże się w kwietniu. Mamy kłopoty finansowe z jego wydaniem. Pieniądze otrzymaliśmy. Legitymację PKS wyślemy po wydrukowaniu ich, dalsze składki prosimy nadsyłać narazie pocztą na adres Klubu.

P. Ryszard Ejchelkraut w Ostrowi Mazowieckiej. Rozwiązania zagadek można przysyłać na kartkach pocztowych.

P. Leopold Kubiak i Koledzy z Mły na Parowego w Kole nad Wartą. Uwagi Wasze rozważymy i postaramy się rozszerzyć działy, które Was interesują. Za życzenia b. dziękujemy.

P. Regina Skopińska z Torunia. Cieszymy się z tego, że dzięki „Tygodniowi" odnalazła Pani swoich krewnych.

P. Helena Bromberkówna — Pniewy. Istotnie „Tydzień" miał przestać wychodzić. Żal nam jednak było zaprzepaścić dotychczasowy dorobek i chociaż walczymy z dużymi trudnościami, mamy nadzieję, że „Tydzień" utrzymamy, licząc na to, że nasi Czytelnicy będą nam pomagali w zjednywaniu nowych Czytelników, aby w ten sposób ułatwić nam nasze zadanie. Nie należy zrażać się chwilowymi niepowodzeniami lecz próbować szczęścia dalej.

P. Jerzy Różański — Ciechanów ul. Kilińskiego 21. Przygotowujemy specjalny dział dla młodzieży już w najbliższym czasie.

P. Danuta Kantorowicz — Warszawa, ul. Marymoncka 90. Książkę Zofii Nałkowskiej pt. „Niecierpliwi" wysłaliśmy 6 bm., proszę nas zawiadomić, czy Pani ją otrzymała.

P. Antoni Marcinek — Bukowiec Górny pow. Leszno. Z nadesłaną pracą zapoznamy się i udzielimy Panu odpowiedzi.

P. Halina Andrychowa. O ile Pani chce podzielić się swemi uwagami z Jerzym Broszkiewiczem, autorem książki pt. „Oczekiwanie", proszę napisać list do Wydziału Wydawniczego „Wiedza" Warszawa, ul. Lwowska 5 na adres red. Wojciecha Natansona, który list Pani przekaże autorowi. Poezje znajdzie Pani w numerze świątecznym „Tygodnia". Własne próbki proszę nadesłać, zobaczymy.

P. Józef Kępiński — Warszawa, ul. Sliniknowa 21. Dziękujemy za zwrócenie uwagi.

P. Stanisław Sądek — Kraków, ul. Bandurskiego 58. Uwagi Pana są bardzo cenne, ale nie wszystko da się zmienić. Niektóre działy, które Pan proponuje usunąć, muszą być i często spotykamy się z uwagami, że powinno ich być więcej. Niemniej będziemy starali się przynajmniej częściowo urozmaicić je.

P. Leonard Sulikowski — Sosnowiec ul. Limanowskiego 14. Nadesłany przez Pana materiał był już wykorzystany przez nas przed kilku tygodniami.

WALERY PRZYBOROWSKI

AKCJA „HERGEL"

WYKONANA dnia 10 grudnia 1943 r.

Hergel — szpieg na usługach Gestapo — miał powierzony sobie z ramienia tegoż ogólny nadzór nad wszystkimi drukarniami warszawskimi i jednocześnie zajmował kierownicze stanowisko w fabryce papieru na ul. Leszno Nr 138-40. Przez swych podwładnych ,między którymi było kilku Polaków, tropił nielegalne wydawnictwa i tajne drukarnie.

Akcja szpiegowska prowadzona przez niego w roku 1943 zaczęła stawać się coraz bardziej skuteczna, przynosząc duże szkody podziemnemu drukarstwu polskiemu. Z tych przyczyn postanowiono Hergla jako kierownika tej niebezpiecznej akcji zlikwidować.

Wykonanie akcji powierzono batalionowi Wielkiej Dywersji AK „Parasol". Wywiad i rozpoznanie przeprowadziła grupa wywiadowcza „Rajski". Rozpoznanie ustaliło że Hergel codziennie przyjeżdża samochodem ze swego mieszkania na Frascati do fabryki papieru na ul. Leszno 138-40. Nie zjawia się jednak nigdy wcześniej niż o godzinie 10, a wyjeżdża nie później niż o 16.

Na ulicy w tych godzinach panował dość duży ruch kołowy i pieszy. Wóz Hergla po wyjeździe z bramy fabrycznej skręca zawsze w kierunku ul. Młynarskiej.

Otrzymawszy powyższe dane dowódca batalionu mjr. Pal powierzył wykonanie akcji III plutonowi baonu „Parasol".

Ze względu na trudności z ustaleniem dokładnej godziny akcji, postanowiono, że oddział przeznaczony do niej będzie oczekiwał w umówionym miejscu na telefoniczne zawiadomienie przez łączniczki, obserwujące bramę przy ul. Leszno 138-40. Natychmiast po otrzymaniu zawiadomienia chłopcy mają udać się na wyznaczone miejsca i tam oczekiwać na dogodny moment.

Do akcji wyznaczono następujących ludzi: d-ca — śp. ppor. „Maryla" (Pakuła Stefan), śp. strzelec „Madziar" (Czaki Stefan), śp. podch. „Hipek" (Królikowski Stefan), śp. ppor. „Leszek" (Jankiewicz Jerzy) i szofer śp. strzelec „Olek" (Kamiński Tadeusz). Oddział uzbrojony był w 3 pistolety maszynowe „Sten", 4 pistolety „Vis" 9, 1 pistolet „Pb." — 9, 1 rewolwer „Colt" — 11, 4. Oprócz tego 18 granatów „Filipinek" i 2 granaty „Plastikówki". Poza tym do oddziału przydzielono jako łączniczki ppor. „Janinę", „Jadwigę", „Misię" i „Anię".

Plan akcji przewidywał, że po wyjeździe wozu Hergla z bramy ppor. „Maryla" i strzelec „Madziar" zatrzymają samochód i zastrzelą Niemca, otwierając drzwiczki wozu z obu stron, przyczym „Madziar" miał za zadanie odebrać mu posiadane papiery. Zadaniem „Hipka" było ubezpieczenie akcji od strony ul. Młynarskiej, a „Leszek" ubezpieczał od strony Karolkowej.

Łączniczki „Jadwiga" i „Janina" obserwują bramę fabryki i natychmiast po przyjeździe Hergla, Janina telefonicznie zawiadamia „Marylę", oczekującego z podkomendnymi na punkcie. „Jadwiga" w czasie nieobecności „Janiny" obserwuje bramę i ma zameldować o ewentualnych zmianach.

Po opracowaniu planu akcję wyznaczono na dzień 10 grudnia 1943 r. Już przed godziną 10 zjawiły się na Lesznie obie łączniczki „Janina" i „Jadwiga", obserwując bramę i oczekując na przyjazd Hergla. Czas płynie powoli. Wreszcie o godzinie 12.50 oczekiwany wóz wjeżdża do fabryki. W momencie zatrzymania się przed bramą łączniczki zauważyły, że obok Hergla siedzi jeszcze jakiś cywil.

Brama otwiera się, samochód wjeżdża, a „Janina" biegnie do pobliskiego sklepu, gdzie znajduje się telefon, by zawiadomić oczekujących.

O godzinie 13.15 są już wszyscy na miejscu i odbierają w jednej z bram broń, przyniesioną przez „Anię" i „Misię". Jednocześnie podjeżdża nasz samochód prowadzony przez „Olka" i zatrzymuje się w pobliżu szpitala Karola i Marii.

„Maryla" i „Madziar" ze „Stenami" zawieszonymi na piersiach pod płaszczami spacerują wolno w odległości około 20 m od bramy po stronie ul. Młynarskiej. W tym samym kierunku w odległości około 40 metrów od nich zajmuje stanowisko „Hipek", a „Leszek" staje po drugiej stronie ulicy w pobliżu szpitala św. Łazarza.

„Janina", zawiadomiwszy „Marylę" o towarzyszu Hergla, zabiera papiery wozu i odchodzi na punkt ewakuacyjny między Śliską i Złotą. Łączniczki „Ania" i „Misia" pozostają w pobliżu, by ewentualnie — gdy akcja nie dojdzie do skutku — zabrać broń.

Około godziny 14 pojawiają się od strony ul. Karolkowej grupy osób uciekających przed łapanką, która odbywa się na rogu ul. Wolskiej i Karolkowej. Sytuacja staje się dość niebezpieczna. Minuty oczekiwania dłużą się w nieskończoność. Wreszcie o godz. 14.20 otwiera się brama i wóz Hergla wyjeżdża na ulicę, skręcając nie ku stanowisku „Maryli" i „Madziara", a w przeciwnym kierunku — w stronę ul. Karolkowej. Widząc to obaj ruszają za oddalającym się samochodem. Z odległości około 40 m „Maryla" dobywa pistoletu i strzela kilkakrotnie. Po strzałach wóz zwalnia. Korzysta z tego „Madziar" i zabiegłszy z boku oddaje parę strzałów z rewolweru. To poskutkowało, samochód zatrzymuje się, otwierają się drzwiczki i z wnętrza wyskakuje kierowca.

„Maryla", który pierwszy podbiegł do wozu, widzi przez zbitą szybę leżącego na siedzeniu Hergla, silnie krwawiącego. Z drugiej strony miga mu w drzwiczkach uciekający towarzysz Niemca.

Gdzieś z głębi ulicy padają dwa strzały pistoletowe. „Leszek", widząc uciekających z samochodu cywila i kierowcę, oddaje krótką serię ze „Stena", kładąc obu trupem. Po serii „Leszka" padają znów z tego samego kierunku dwa strzały. Jednocześnie podjeżdża nasz samochód, do którego wsiadają kolejno „Madziar", „Hipek", „Leszek" i „Maryla".

Samochód z uczestnikami akcji wycofuje się Młynarską, Wolską, Karolkową, Kolejową, Towarową, Srebrną do Twardej, gdzie między Złotą i Śliską zostaje zdana broń oczekującym łączniczkom, po czym wszyscy rozchodzą się do domów.

Strat własnych nie było. Straty nieprzyjaciela: 2 zabitych i 1 (Hergl) ciężko ranny.

Higiena i ZDROWIE

Kurze łapki

Jedną z pierwszych oznak minionej młodości, występującą jednak niekiedy u zupełnie młodych jeszcze osób, są tzw. „kurze łapki". Jest to sieć zmarszczek rozmieszczona promieniście u zewnętrznego kąta oka. Zmarszczki te początkowo występują tylko przy mimice, płaczu lub śmiechu; gdy zaś rozwiną się silniej, widoczne są stale bez względu na wyraz twarzy.

Jak zaznaczyliśmy, mogą być one widoczne i u zupełnie młodych osób, które odznaczają się wybitnie ruchliwą grą twarzy, a także u osób przebywających stale na słońcu i mrużących wskutek tego ciągle oczy. Reasumując — powstawaniu tego defektu urody sprzyja silny rozwój podskórnej muskulatury okrężnej oka, która znów wzmacnia się i rozwija przez częste jej używanie wskutek ciągłej mimiki, grymasów i mrużenia.

„Kurze łapki" specjalnie mocno występują w lecie u osób uprawiających intensywnie sporty, wycieczkujących — jednym słowem — przebywających długo na słońcu. Wskutek ciągłego mrużenia oczu zmarszczki te pogłębiają się i na opalonej twarzy występują w formie jaśniejszych promieni stych bruzd.

Omawianym zmarszczkom towarzyszy obwisłość i jakby lekki obrzęk powiek. Przyczyny powstawania „kurzych łapek" należy szukać w tym, że skóra dookoła oczu jest bardzo cienka, wiotka, pozbawiona prawie tłuszczu i ściśle zrośnięta z muskulaturą. Gdy mięśnie często się kurczą, skóra poddaje się ich skurczowi i ściąga w zmarszczki, które potem utrzymują się jako promieniste bruzdy.

Poznanie przyczyn powstawania tych zmarszczek ułatwi nam ich zwalczanie. Więc — przede wszystkim — należy unikać nadużywania mimiki twarzy wzgl. przez ćwiczenia przed lustrem ograniczyć ją, by zapobiec kurczeniu się mięśni dookoła oczu. Jest o jednak nie zawsze wykonalne, gdyż osoby ekspansywne i żywe nie potrafią nigdy zapanować nad przyrodzoną ruchliwością twarzy.

Skutecznie działa przeciwko „kurzym łapkom" ręczny masaż, musi on być jednak wybitnie delikatny i ostrożny, polegający jedynie na lekkim postukiwaniu i ugniataniu okolicy zmarszczek, w żadnym zaś razie nie na pocieraniu i rozciąganiu skóry. Nieumiejętny masaż może tu wywołać nieobliczalne szkody.

Obok masażu dobre jest leczenie ciepłem, diatermią. Nie wskazane są natomiast — energiczny masaż i elektryzacja.

Dr med. J. M.

Pielęgnujmy urodę

Zmarszczki pod oczami

P. Julia M. — Sandomierz. — Aby zwalczyć chorobę — trzeba poznać i usunąć jej przyczynę. A więc, najlepiej udać się przede wszystkim do lekarza - internisty. Samej zaś poświęcić codziennie 5 minut na lekki masaż. Kierunek masowania: od skroni do nosa. Masować końcami palców, zlekka opukując miejsca, gdzie się tworzą zmarszczki. Do masażu można użyć — jeżeli brak innych środków — nawet świeżej oliwy sojowej (zawiera naturalną lecytynę). Na noc stosować krem lanolinowy. Do mycia twarzy — dobre przetłuszczone mydło.

Żeby dokładniej poradzić, muszę znać wiek Pani i orientować się — jaki jest ogólny stan zdrowia. W Warszawie może Pani korzystać z bezpłatnych porad kosmetycznych w Poradni Zw. Zawod. Prac. Służby Zdrowia — ul. Wilcza 22.

Łojotok.

P. Sabina Kr. — Otwock. Przy pryszczach na tle łojotoku wskazane jest przede wszystkim dokładne oczyszczenie skóry (najlepiej w dobrym zakładzie kosmetycznym). I w tym wypadku wizyta u lekarza - internisty jest niezbędna, gdyż funkcje narządów trawiennych wpływają decydująco na cerę. Naświetlanie lampą kwarcową daje przy łojotoku bdobre rezultaty. W domu — codziennie rano i wieczorem myć twarz ciepłą wodą i mydłem. Pryszcze przecierać watą zwilżoną w płynie, sprepa- rowanym w następujący sposób: rozpuścić 1/4 łyżeczki od herbaty kwasu bornego w pół szklance gorącej wody, dodać 1 łyżeczkę gliceryny — całą zawartość szklanki skłócić i dodać do tego po ostudzeniu drugie tyle spirytusu 95%-owego.

Czerwone ręce.

P. Adela U. — Kutno. — Codziennie przed snem umyć ręce ciepłą wodą i mydłem lanolinowym wzgl. benzoesowym. Dokładnie opłókać czystą wodą i po osuszeniu wcierać płyn o składzie następującym: 100 gr wody przegotowanej i ostudzonej, 15 gr gliceryny lub wody kolońskiej, sok wyciśnięty z połówki cytryny. Mieszankę przed użyciem dokładnie skłócić.

Janina Szymczak

NOWY KONKURS „TYGODNIA”

Rozwiązań zagadki Nr 30 wpłynęło 287. z czego 159 było dobrych, a 128 błędnych.

Rozwiązanie brzmi:

„GOŁY JAK ŚWIĘTY TURECKI”.

W wyniku losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Maria Kłos — Chełm Lubelski, ul. Żeromskiego 7.

Lucjan Bocheński — Zielonagóra, Aleja Słowackiego 2b.

Alina Ciepllńska — Ostrowiec Swiętokrzyski, ul Żytnia 30.

Henryk Piskorczyk — Dąbrowa Górnicza, ul. Kopernika 6b.

Władysława Wojtczak — Ozorków, ul. Zgierska 15.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA”

Jerzy Czarkowski — Parczew, ul. Kościelna 66.

Wacław Grochowski — Kielce, ul. Hipoteczna 2-2.

Zygmunt Modro — maj. Kawęczyn, p-ta Szymanów, pow. Sochaczew.

Irena Wawszczak — Jelenia Góra, ul. Wyczółkowskiego 23.

Zbigniew Gulkowski — Elbląg, ul. Próchnika 6-2.

Tadeusz Wilczyński — Jelenia Góra, ul. Bartka Zwycięzcy 3.

Henryk Bujnik — Staw, pow. Chełm Lubelski.

Witold Perepeczko — Giżycko, ul. Traugutta 9.

Stanisław Polak — Przemyśl, ul. Czarneckiego 1.

Hanka Załucka — Nysa, ul. Żeromskiego 17.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

Powyżej podajemy zagadkę Nr 33, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA”.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 kwietnia br.

Kącik BRIDŻOWY

N: ♠ A.3.2 ♥ K.6.5.2. ♦ A. 8.2 ♣ D. .9.2

W: ♠ K.7.6.5 ♥ 7.4.3 ♦ W.10.9 ♣ W.10.8

E: ♠ 4 ♥ D.W.10 ♦ D.6.5.4.3 ♣ .7.6.5.4

S: ♠ D.W.10.9.8 ♥ A.9.8 ♦ K.7 ♣ A.K.3

W dzisiejszym zadaniu podajemy przykład, w którym czwarty król atutowy przed trzecim asem nie robi lewy.

Atu piki. „S” oddaje jedną lewę.

Rozwiązanie zadanie z dnia 15 lutego br.:

„S” zagrywa asa karo, przebija u „N” damą ker i gra 3-kę ker, na którą zrzuca z ręki 3-kę trefl. „W” utrzymuje się waletem ker i musi zagrać spod króla trefl do tzw. „widel” u „S”.

L. B.

NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ W KONKURSIE KARNAWAŁOWYM

Za rozwiązanie wszystkich zadań bezbłędnie, nagrody książkowe otrzymali:

Lubnaar Władysław — Zgierz, ul. Szczęśliwa 1; Wakierówna Jadwiga— Łódź, ul. Nawrot 20 — 2; Bielski Leonard — Ruda Pabianicka, ul. Mickiewicza 18; Świderski Edmund—Łódź, Abramowskiego 1 — 3; Janowski Ignacy — Łódź, ul. Piotrkowska 25 — 47.

Nagrody pocieszenia w drodze losowania otrzymali:

Dziewanowska B. — Otwock, ul. Pułaskiego 14; Nowicki Witold — Radość, Al. 3 Maja 10a; Sułowska Janina — Sosnowiec, ul. Harcerska 12; Miszczak Marian — Częstochowa, ul. 1 Maja 40; Kraszewski Lech — Koło nad Wartą, ul. św. Bogumiła 23—4; Nowy Tadeusz — Wrocław, ul. Benedyktyńska 10 — 4; Sylwanowicz Krzysztof — Gdańsk, Akademia Lekarska blok 1 m. 59; Wilczyńska Wladа — Tomaszów Mazowiecki, ul. Daszyńskiego 27; Chosłowski Józef — Puszczykówko, p-ta Puszczykowo, pow. Poznań, ul. Libelta 16; Witkowska Jadwiga — Wólka Zamkowa, p-ta Drohiczyn nad Bugiem; Falkowska J. — Jarocin Wlkp., Oddział „Społem”; Sikorski Piotr — Warszawa, ul. Słupecka 4 — 13; Szczepankiewicz Janina — Gliwice, ul. Arkońska 12 — 4; Grot Gisges W. — Warszawa, ul. Siemiradzkiego 1 — 1.

ul. Siemiradzkiego 1 — 1. Rudzka Janina — Sosnowiec, ul. Harcerska 12.

Nagrody autorskie za najlepsze trzy zadania w tym konkursie, na skutek opinii czytelników otrzymali:

Miałkowski Romuald — za arytmograf; Grójnacki Erazm — za krzyżówkę; Psarska Zofia (Astra) — za arytmograf balonikowy.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

WIELKOPOSTNY KONKURS
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W Nr 7 (83) ogłosiliśmy nowy konkurs na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 28 marca br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 kwietnia rb. Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty.

Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców Konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia również książkowych.

Wraz z rozwiązaniami prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy najlepsze zadania, wytypowane przez Czytelników przyznane będą trzy specjalne nagrody książkowe.

Nie zamieszczone zadania w „Konkursie Karnawałowym”, zostaną wykorzystane w obecnym. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

REBUS KOŁOWY

opr. Kasta

SZTUKA

W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki Poli Gojawiczyńskiej pt „Ziemia Elżbiety” otrzymał p. Jerzy Jakubowski (Działdowo, ul. Księżodworska — Parcele) za nadesłanie ulotki Zakładów Przemysłu Chem.-Farmaceutycz. i wycinka z „Tygodnika Warszawskiego”.

PŁYN NA ODCISKI

Zakłady Przemysłu Chem.-Farmaceutycz. wydały ulotkę reklamującą „Płyn na odciski” „Ruta” i podają następujący

SPOSÓB UŻYCIA:

„Przez 6 dni rano i wieczorem pędzelkiem lub koreczkiem rozprowadzić płyn po odciskach, brodawkach, zgrubieniach skóry itp. Po zastosowaniu tego zabiegu odciski, brodawki, zgrubienia skóry itp., zamieniają się w nieczułe masy dające się łatwo podważyć paznokciem i usunąć lub zeskrobać. O ile schorzenia są zastarzałe, należy je płynem smarować częściej, PRZEDŁUŻAJĄC KURACJĘ DO 5 DNI”.

A może tak pędzelkiem pociągnąć po odciskach na mózgu autora ulotki?

„WIOSNA LUDÓW”

Pod tym tytułem „Tygodnik Warszawski” Nr 10 (119) z dnia 7 marca br. podaje artykuł dr Kazimierza Rakowskiego, w którym ostatnie zdanie brzmi:

„Wiosna Ludów' z r. 1848 powinna nas zastać zrównoważonych tak, jak zastała naszych praojców w Wielkopolsce”.

Brawo Doktorze! Czyżby artykuł pisany był po kilku głębszych w dniu imienin?

OBÓZ KONCENTRACYJNY DLA NIEBOSZCZYKÓW

W „Dzienniku Zachodnim” Nr 49 (997) z dnia 29 lutego br. czytamy:

„Zofia Cyrus i Helena Cupryna wiedziały, że Niemcy poszukiwali Emila Kowala, b. policjanta polskiego, powstańca śląskiego i uczestnika walk z „freikorprzystami”. Gdy Kowal jeszcze we wrześniu 1939 r. wrócił do Chorzowa, obie doniosły o tym policji niemieckiej. Ujęty tego samego dnia Kowol został zabity i zesłany do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie przebywał przez 4 lata”.

Okazuje się więc, że Niemcy posiadali również obozy koncentracyjne dla nieboszczyków, którzy dopiero po odbyciu kary mogli faktycznie umrzeć lub zmartwychwstać.

(Nadesłał Ludwik Rzepkiewicz z Katowic).

UCZYŁ MARCIN MARCINA

Niedawno „Słowo Powszechne” pouczało „Tydzień” a ściślej kol. Łatkę, jak powinien redagować „Kronikę Kulturalną”. Redaktorów „Słowa Powszechnego” zgorszyła bowiem notatka St. Łatki omawiająca w „Kronice Kulturalnej” w Nr 5 (81) kwestię prostytucji i walki, jaką z nią toczą już od wieków społeczeństwa różnych narodów.

Ponieważ wspomniane „Słowo Powszechne” prowadzi na swych łamach również „Kronikę Kulturalną” więc zainteresowaliśmy się nią, w chęci nauczenia się, jak powinna być redagowana. I oto w Nr 41 (316) z dnia 12 lutego br. czytamy w rubryce „Kronika Kulturalna”:

„Amerykański statek „Lake Victory” odszedł z Gdyni z transportem 423 Ł pierza, wyrobów koszykarskich i bieli cynkowej”.

×

„Szwedzki statek „Saga” zabrał z portu gdańskiego ładunek 982 ton słodu”.

×

„Do Gdańska przybył m. in. polski tankowiec „Wturnia” z transportem benzyny”.

Oto „fachowa” treść owej „Kroniki Kulturalnej” „Słowa Powszechnego”. Wolimy już swoją „Kronikę”.

(Nadesłał W Czajkowski z Brzeska).

TYDZIEŃ Kobiety

„O GOŚCINNOŚCI ODŚWIĘTNEJ"

Większość narodów ma do siebie przyklejone jakieś specjalne etykiety — dodatnie lub ujemne. Będziemy tutaj mówić tylko o pozytywnych tj. o tak zwanych cnotach narodowych. A więc, jeden naród cechuje np. opanowanie i zimnokrwistość, drugi naród jest radosny i śpiewający, trzeci — punktualny, jeszcze inny po mrówczemu pracowity... itd., itd.

Za jedną z najbardziej popularnych i najgłośniej przez cudzoziemców rozsławionych naszych cnót uchodzi **Polska gościnność.**

Ta skądinąd sympatyczna i poważna cnota — polska gościnność, jak wszystkim wiadomo, miewa również swoje święta. Nie jest też tajemnicą że gościnność odświętna jest „cnotą" wielce przesadną, mocno egzaltowaną i nienaturalną.

Na każde większe święta, a szczególnej na Wielkanoc wprowadzamy siebie w jakąś niehamowaną niczym histerię gościnności i w natarczywie bezwzględny sposób, przekraczając wszystkie granice umiaru, atakujemy... żołądki naszych gości.

— Panie Józefie kochany! Jeszcze kawałeczek tej westfalskiej szyneczki ...domowej roboty... I grzybków... sama marynowałam... A nalewki to pan oczywiście?... Teraz kawałątko tego pasztetu... prawda, że niezły?... itp. itp.

Pan Józef z kardynalską purpurą na pełnym obliczu, błędnym uśmiechem akceptuje gościnne propozycje miłej pani domu. Dziś jest to już jego piąta świąteczna wizytka. Na gwałt usiłuje wmówić w siebie, że z tym prawem o nieprzenikliwości materii to jakiś podejrzany szwindel. Pcha i pcha w siebie bez końca i jakoś tam idzie...

Tak mniej więcej w drobnej próbce wygląda natarczywość gościnności odświętnej i jej bezpośredni prosty rezultat — obrzydliwe obżarstwo.

Bardzo miłą i piękną sprawą jest smacznie i dobrze podjeść. Rozumiem doskonale, że trudno jest z pustym żołądkiem święcić choćby największe święto. Nie namawiam żadnej z gospodyń domu, by swoich gości świątecznych spotykała tylko z miłym uśmiechem i wodą sodową. Dlaczego jednak z tych najbardziej radosnych świąt Wielkiejnocy zrobiliśmy sobie coś w rodzaju festiwalu obżarstwa i opilstwa? Dlaczego akurat te, raczej nieprzyjemne, grzechy główne popieramy z takim zaparciem swą wylewną gościnnością?

Z tą tradycją musimy zerwać. Aczkolwiek staropolska, aczkolwiek taka bardzo nasza — tym nie mniej jednak ubliżająca nie tylko Świętom, ale i zwykłej gościnności człowieka.

Do walki z obyczajem świątecznym obżarstwa powinny przede wszystkim wystąpić kobiety. Przyrodzony swój instynkt gościnności powinny ograniczyć ramami taktu i umiaru.

Nie wmuszać w pana Józefa, kiedy to już fizycznie prawie niemożliwe, nie czarować go autorstwem swoich produkcji kulinarnych. Czy tak czy inaczej pan Józef, cierpiący na niestrawność stanie się wyjątkowym niewdzięcznikiem. W jego gorzkich żalach, aż nazbyt często się słyszy: „O rany!... to **jej pasztet**, cholera, tak mi bokiem wyłazi..."

W walce z nonsensowną tradycją nie tylko o panów Józefów powinno nam chodzić, byłby to zresztą zysk niewielki. Atut istotny w tej sprawie ma oblicze wybitnie praktyczne, niesłychanie ważne — szczególniej w obecnych niełatwych, powojennych czasach. Atut ten — to oszczędność.

Nie różowa dla większości sytuacja materialna nauczyła nas wielu cennych nauk, zmusiła nas do oszczędności na codzień. Z trudem jednak pojmujemy, że należy oszczędzać i w święta. Tkwi w nas jeszcze pod tym względem karygodne staropolskie — „zastaw się — a postaw się". Zo ostatnie złotówki mobilizujemy często tzw. zapasy świąteczne. Wydajemy reszstki, by jakiś pan Józef przeżarł się i cierpiał na niestrawność. Jesteśmy naprawdę skandalicznie rozrzutne z tymi przygotowaniami świątecznymi. Robimy takie zapasy, jakbyśmy się spodziewały wizyty pułku, głodomorów. A cóż się właściwie dzieje z tymi „zapasami"? Mało napewno znajdzie się gospodyń, które by szczerze później powiedziały: „Zabrakło... Wszystko zjedli i wypili... było nawet trachę za skąpo..." Takich wyjątkowych wypadków zdarza się u nas naprawdę mało. Bez przesady można zaryzykować twierdzenie, że conajmniej 20 proc. przygotowanych na święta potraw **pozostaje** i najzwyczajniej w świecie marnuje się.

Czyż nie jest karygodna taka bezmyślna rozrzutność?! Bądźmy przezorne! Powinnyśmy sobie zdawać sprawę, że po świętach przyjdą znów zwykłe szare, twarde dni. Nauczmy się przewidywać; Skalkulujmy nasze zapasy świąteczne tak, by nic z nich nie poszło do śmietnika. Nie kupujmy rzeczy zbyt drogich, obądźmy się raczej w tych czasach skromnym wielkanocnym stołem.

Czyż nie jest bowiem rozsądniej zaoszczędzić pewną kwotę pieniędzy i znaleźć ją zawsze w razie istotnej potrzeby na książeczce BANKU GOSPODARSTWA SPÓŁDZIELCZEGO, niż być „furią gościnności" i sprawczynią... niedomagań żołądkowych.

Nad tym ostatnim pytaniem zastanówcie się Panie, wyruszając po zakupy świąteczne i wyciągnijcie odpowiednie wnioski.

Każda kobieta wie, że po za zwykłymi codziennymi wydatkami na utrzymanie, istnieje cały szereg wydatków sezonowych, związanych z zaopatrzeniem zimowym, wyjazdem na urlop, wysłaniem dzieci na wieś, kupnem ubrania, butów itp. Ale obok tych — każda dobra gospodyni powinna przewidywać i wydatki nadzwyczajne. Zdarzyć się może bowiem choroba, śmierć, kradzież itp.

Skąd wziąść wówczas pieniądze?

Zwracać się do rodziny lub znajomych o pomoc lub pożyczkę — nie zawsze jest skuteczne, a często jeszcze przykre. Dlatego też należy gospodarować budżetem domowym tak, aby co miesiąc pewne sumy odkładać na książeczkę oszczędnościową. Istotą bowiem każdego rodzinnego gospodarowania jest stałe dążenie do wydatkowania mniej niż wynosi dochód.

Każdy początek jest trudny. W dziedzinie oszczędności może jeszcze trudniejszy, bo wiele jest pokus, które prowokują do takiego czy innego niepotrzebnego narazie wydatku. Najtrudniej jest zawsze odłożyć pierwsze kilka złotych — pierwszy tysiąc. Każdy następny tysiąc będzie łatwiej zaoszczędzić.

A co robić z zaoszczędzonymi sumami?

Trzymać je w domu? Niebezpiecznie, bo możemy narazić się na stratę (np. przez kradzież, pożar itp). Zanieść do banku? Często słyszy się narzekania, że pieniądze złożone w bankach, mogą stracić na wartości, czego dowodem ostatnie dwie wojny. A czy te, które lokowały pieniądze w domowych skrytkach — nie straciły ich również?

Dlatego też w okresie stabilizacji gospodarczej najbardziej celowe jest złożenie pieniedzy na książeczkę oszczędnościową, bo w ten sposób składamy dla siebie rezerwy na przyszłość i przyczyniamy się do tego, że pieniądz nie zostaje wycofany z obiegu i nie zmusza to Rządu do wypuszczania nowych emisji banknotów.

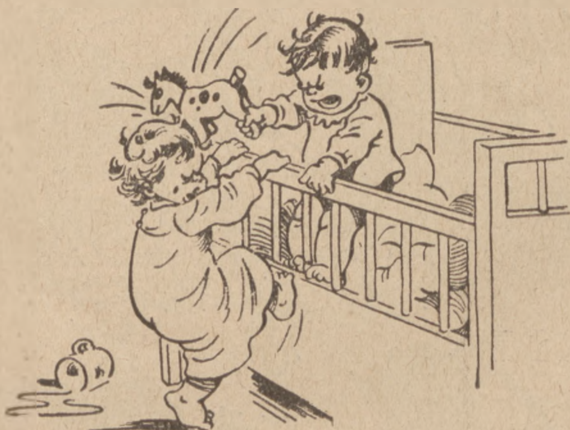
Oszczędności złożone w BGS narastają i to nie tylko przez systematyczne dopłaty, ale i przez doliczanie do nich procentów. Drobnych sum jakie z tego tytułu tworzą się nie należy sobie lekceważyć. Powstają z nich bowiem dalsze oszczędności. **Ewa**

OBSERWUJEMY ROZWÓJ DZIECKA

W Nr 9 „Tygodnia" w artykule „Jak obserwować dzieci" obiecałem jeszcze obszerniej omówić ten temat. Spłacając zobowiązanie, pozwolę sobie dzisiaj zainteresować Czytelniczki b. ciekawymi obserwacjami, jakie można poczynić na dzieciach starszych.

Dzieci powyżej dwu lat obserwujemy i kwalifikujemy na podstawie zadawanych pytań i poleceń, mających na celu wytworzenie opinii co do uzdolnień dziecięcych na odcinkach — uwagi, pamięci, imaginacji i wyrobienia własnych osądów o rzeczach i zjawiskach.

Według metody Bineta - Simona sprawdziany są ułożone zgrubsza i schematycznie, ale dają bądź co bądź już dość wyraźny obraz, umożliwiają cy ustalenie opinii o stopniu inteligencji i poziomie umysłowym obserwowanego dziecka.



Należy tu zrobić pewne zastrzeżenie: poniższe uwagi dotyczą wyłącznie **normalnie** rozwijających się dzieci o umysłowości dostosowanej do wieku.

Przechodzimy teraz do naszej analizy.

W trzecim roku życia dziecko umie wskazać usta, nos, oczy („Pokaż mi swój nosek!"); umie powtórzyć zdanie 6-sylabowe i dwie liczby („kro-wa da-je mle-ko" i „3-7, 4-6"); na nie skomplikowanym obrazku wskazuje i nazywa osoby i przedmioty („Co robią tu ci ludzie?" lub „Co tu jest?"): podaje swoje imię i nazwisko („Jak się nazywasz?"). Jeżeli podaje tylko imię, stawiamy następne pytanie: „A jak się jeszcze nazywasz?".

W czwartym roku dziecko nazywa przedmioty codziennego użytku (klucz, nóż, łyżka, lusterko); powtarza trzy cyfry (7, 1, 4 lub 5, 8, 9); zapytane — czy jest chłopczykiem czy dziewczynką, — daje właściwą odpowiedź; porównuje dwie linijki długości 5 i 7 cm, określając która z nich jest dłuższa a która krótsza.

W piątym roku dziecko porównuje już dwa odważniki; odróżnia, który z dwóch podanych mu przedmiotów jest cięższy; powtarza zdania 10-sylabowe („Czy mogę iść do mojej mamusi? lub „Nauczyciel chwali swego ucznia"); odlicza cztery monety; składa dwa trójkąty w jeden czworokąt (dajemy mu dwa trójkąty wycięte z papieru); potrafi przerysować kwadrat piórem lub ołówkiem.

W szóstym roku życia odróżnia stronę prawą i lewą. Wskazuje lewe ucho, prawą rękę („Podnieś prawą rękę... pokaż lewe ucho!"). Rozróżnia poranek, południe i wieczór. Podaje swój wiek. Można mu dać jednocześnie 3 polecenia i poprawnie je wykona („Weź lalkę z wózka... włóż jej czepeczek... podaj lalkę mamusi!"). Powtarza już zdania 15-sylabowe.

Dziecko 7-letnie:

1. Opowiadanie — co widzi na obrazku? (W pełnych zdaniach dziecko podaje, co na obrazku robią ludzie, koty, kaczki itd.).
2. W narysowanych figurach dziecko stwierdza braki, np brak ręki u człowieka, ogona u kota itd.
3. Przepisuje małe zdania według podanego wzoru piórem lub ołówkiem.
4. Odpowiada — ile ma palców u lewej, ile — u prawej ręki (odpowiedź musi być szybka).
5. Potrafi wyrysować romb piórem lub ołówkiem.
6. Potrafi powtórzyć pięć cyfr, które mu się podaje („Powtórz następujące liczby: 5, 1, 9, 4, 2!").

Należy tu jeszcze raz zaznaczyć, że gdyby podane przez nas sprawdziany zawodziły i gdyby np. dziecko 6-letnie zachowywało się jak 5-letnie — nie trzeba zbyt pochopnie wyciągać pesymistycznych wniosków o jego umysłowym rozwoju. Bywają najrozmaitsze odchylenia i różnice indywidualne, a poza tym dzieci po chorobach gorączkowych b. często rozwijają się przez pewien czas słabiej. Stwierdzono też, że te same dzieci badane w różnych dniach dają rozmaite odpowiedzi: prawdopodobnie odgrywają w tych sprawach również swą rolę stany psychiczne dziecka i różne czynniki przypadkowe.

Dr med. B. M.



Sernik

1 kg białego sera, 30—40 dkg cukru, 10 dkg masła, 1 łyżka mąki, 10 żółtek, 10 dkg rodzynek, 1/2 laski wanilii, kieliszek rumu.

Ser przetrzeć przez sito. Masło utrzeć dodając: ser, cukier, żółtka po jednym i resztę dodatków. Oddzielnie upiec spód z kruchego ciasta, wyłożyć nań masę, zrobić ukośną kratkę z pozostałego ciasta posmarować jajkiem.

Piec w średnio gorącym piecu przez 3 kwadranse. Po upieczeniu posypać pudrem lub polukrować.

Tort biszkoptowy

5 dkg mąki pszennej, 5 dkg mąki kartoflanej, 4 jaja, 15 dkg cukru - pudru i dla koloru łyżeczka kakao.

Utrzeć żółtka z pudrem, dodając mąkę, kakao i pod koniec ubitą pianę z pozostałych białek. Wymieszać i wyłożyć do wysmarowanej masłem tortownicy i upiec. Po upieczeniu przestudzić, przekroić na 3 warstwy i grubo przekładać masą. Ubrać konfiturami, orzechami itp.

M a s a d o t o r t u: 1 szklankę mleka zagotować z wanilią, zaprawić 2—3 dkg mąki, następnie utrzeć 3 żółtka z 12 dkg pudru — połączyć z mlekiem i na ogniu mieszać. 20 dkg masła dobrze rozetrzeć i wlewać do niego po trochu przestudzony krem. Można do tego jeszcze dodać mielone orzechy.

Likier kawowy jasny

20 dkg kawy ziarnistej dopiero co upalonej i jeszcze gorącej zalać litrem spirytusu i postawić w cieple. Po trzech dniach spirytus zlać. Zrobić syrop z 60 dkg cukru, dużej łyżki syropu kartoflanego i 3 szklanek wody. Do gorącego — wlać spirytus, wrzucić kawałeczek kwasku cytrynowego (rozmiaru ziarnka grochu). Przykryć rondel płótnem. Po ostudzeniu likier zbutelkować. Taki likier, bardzo aromatyczny, będzie miał piękny kolor złocisty.

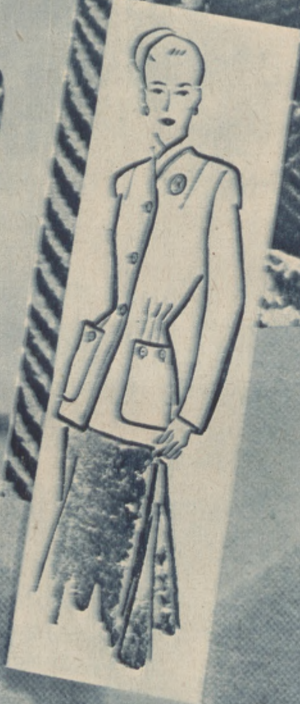
49402

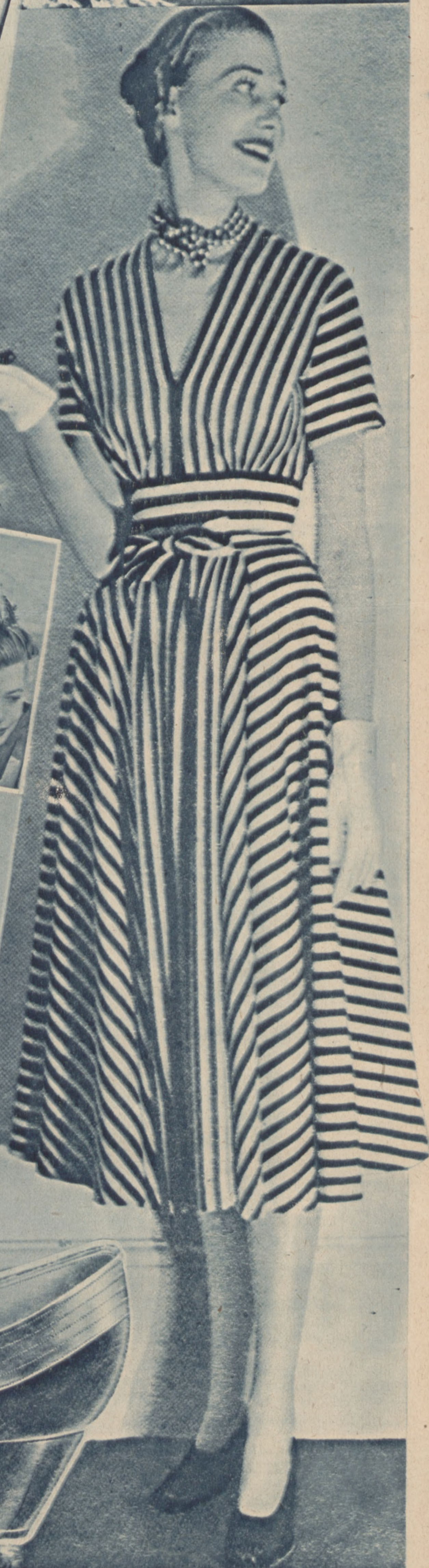
WITAMY WIOSNĘ

Modele i fotografie:
„VOGUE"
„HARPERS BAZAAR"
„AMBASSADOR"
„ELITES FRANCAISES"
Keystone—Londyn—New York—Paryż

















Z szerokiego świata



W Polsce i na szerokim świecie ozdobą stołu wielkanocnego będzie indyk w myśl przysłowia: „Indyk myślał o niedzieli, a w piątek mu łeb ucięli" (Fot. Usis)



Doświadczenia ubiegłej wojny morskiej pobudziły wynalazców w kierunku konstrukcji nowych środków ratowniczych dla lotników, zestrzelonych nad morzem. Tak wygląda najnowszy „dęty" kostium i lekka gumowa łódka ratunkowa „dinghy"...



Szoferzy paryscy, z przyrodzonym Francuzom humorem, manifestują przeciwko ograniczeniom benzynowym („Le monde illustré")



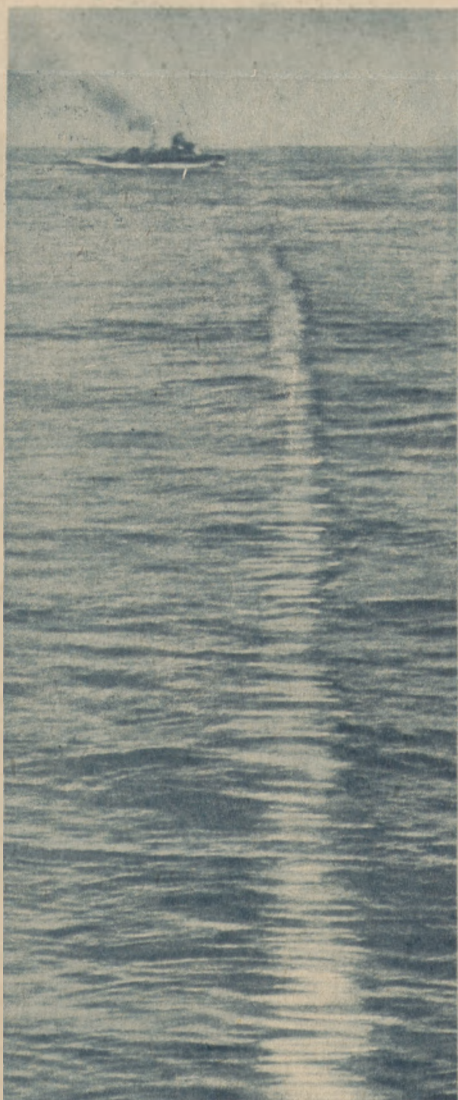
Premiowana ostatnio w Paryżu na konkursie piękności Prowincji Francuskich młoda studentka z Martyniki — panna Armide Jordal



...przy pomocy których rozbitek lotniczy przez długi okres czasu może się utrzymać bezpiecznie na falach, w oczekiwaniu na pomoc



„Królowa mody i wdzięku" — 14-letnie dziewczę ze szczepu Sara (Nigeria—Afryka). Szczytem szyku są rzeźbione desenie i wzory na twarzy i ciele





S. O. S.! U — boat! Wymierzona celnie z łodzi podwodnej torpeda, znacząc ślad na falach morskich, uderza w okręt wojenny. Wskutek wybuchu torpedy okręt szybko pogrąża się w morzu, załoga szuka ocalenia na łodziach ratunkowych i tratwach. Wielu marynarzy nie zdążyło dostać się do łodzi i ci utrzymują się jedynie dzięki pasom i kamizelkom ratunkowym. (Patrz reportaż z bitwy morskiej na str. 6 wewnątrz numeru)

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 66-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.
R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa